



Maria Cecylia Guziolek

ZAPROSZENIE NA UCZTĘ



W niedzielę zamek łańcucki obejmie w swe posiadanie piękna Polihymnia. Przez 6 dni ona to będzie „panią na Łańcucie”, będzie zbierać hołdy, a w zamian bogato z szerokim gestem obdarzy wiernych sprzymierzeńców i wielbicieli — muzyką.

Przez sześć wieczorów jak w kalejdoskopie zmieniać się będą zespoły kameralne, przedstawiając swój kunszt i muzykę, która od setek lat pasjonuje i wzrusza muzyków, melomanów i miłośników sztuki w szerokim pojęciu.

Kameralistyka — najczystsza i najtrudniejsza dziedzina muzyki. Tę uprawiać mogą tylko ci, którzy przeszli próg dobrego rzemiosła i wkroczyli w świat wśfiekiej sztuki. Tu każdy z wykonawców musi być solistą...

Przed 7 laty Dni Muzyki Kameralnej rozpoczynały swą karierę jako stały festiwal. Były one jedną z nielicznych imprez cyklicznych muzyki kameralnej w kraju. Dziś — prawdę mówiąc — mapę Polski pokrywa bardzo gęsta sieć ośrodków festiwalowych, a kalendarz imprez jest obfity i przebogaty. Gdyby ktoś uparł się być na wszystkich festiwalach Polski w ciągu jednego roku — zamiar spałiby na panewce. Terminy nakładają się bowiem, więc pomysł — nierealny. Takiego rozkwitu muzyki nie notowała jeszcze historia polskiej kultury muzycznej. Zdobył się renomowanego zespołu stało się nie lada orzechem do zgryzienia przez organizatorów ambitnych imprez.

Jednak nie ma obawy przed „zalewem” festiwalu muzycznych. Święta muzyki przy całej swej dobrej dążności do specjalizacji w skali kraju — głównie organizuje się z myślą o społeczeństwie

i dla mieszkańców konkretnej miejscowości, w której festiwal się odbywa. Te uroczyste spotkania z muzyką niech się staną dopingiem dla twórców i wykonawców do stałego uszlachetniania swego warsztatu i artysty, podnoszenia do wyżyn prawdziwej WIELKIEJ SZTUKI. A na temat niedomagań wykonawczych zespołów, które mnożą się w zdumiewającym tempie można by wiele mówić i długo...

Wróćmy do Łańcucia. Bajeczna sceneria zamku i parku, którego urok podkreślać będą podobnie jak w ubiegłym roku światła reflektorów, sprzyja powodzeniu festiwalu. Urok udziela się artystom. Stwierdzają: „Tu można grać” i niejedni doznają: „Dla takiej publiczności warto grać!”

Łańcucka impreza cieszy się dobrą sławą, chociaż zbyt kameralną. Cieszy się sławą wśród muzyków i tych, którzy choć raz byli na koncertach festiwalowych i wśród mieszkańców Rzeszowszczyzny, bo do rozgłosu ogólnopolskiego jeszcze jej daleko. Festiwal doczekał się — chociaż dopiero teraz po siedmiu latach, tego, o czym marzy każdy organizator — takiej frekwencji, że zdobycie biletu już od tygodnia jest problemem. Dobry to omen! Za dwa lata, gdy na afiszu DNI MUZYKI KAMERALNEJ pojawi się uroczysta rzymska dziesiątka z jubileuszowym laurem, koncerty będzie można powtarzać zapewne już w gmachu Państwowej Filharmonii im. Artura Malawskiego w Rzeszowie, w gmachu, którego zarządcą jest już widoczny. Wówczas kłopotu o zdobycie biletu na festiwalowy koncert zapewne nie będzie. A niezapomniane koncerty staną się udziałem

wszystkich miłośników muzyki...

Co i kogo usłyszymy w czasie VIII Dni Muzyki Kameralnej?

Festiwal zainauguruje w niedzielę 12 bm. Zespół Kameralny Państwowej Filharmonii im. Artura Malawskiego w Rzeszowie pod kierownictwem Janusza Ambrosia. Z zespołem wystąpi sopranistka Zofia Janukowicz i Elżbieta Chojnacka — klawesyn. Koncert, na który złożą się utwory Bacha, Purcella i Giordano będzie urozmaicony występem krakowskiej aktorki Danuty Michałowskiej, która będzie recytowała „Wesele poety” — Kamila Baczyńskiego.

W poniedziałek 13 maja wystąpi norweski kwintet dęty. Norwescy goście wykonają Kwartet Es-dur Stamitza. Sześć małych fug Haendla, Divertimento Mozarta oraz Summer music Barbera, Kwintet Francaix'a i Humoreskę Braeina.

Trzeci koncert festiwalowy odbędzie się w bazylice leżajskiej. Znakomity organista, wielokrotny laureat nagród muzycznych Joachim Grubich z Krakowa grać będzie utwory Jana Sebastiana Bacha, Jana z Lublina oraz Sonatę Feliksa Mendelssohn-Bartholdy'ego. Usłyszymy również Preludium i Wariacje h-moll oraz Pieśń Zwycięstwa Cezarego Francka.

Po raz pierwszy w koncertach festiwalu łańcuckiego weźmie udział poznański zespół kameralny — Collegium Musicorum Posnaniensium, grający pod kierownictwem Włodzimierza Kamińskiego. Zespół ten powstał przy Muzeum Instrumentów Dawnych w Poznaniu i jest jedynym zespołem grającym na oryginalnych, starych instru-

Dzień Kultury

Najpiękniejsza pasja

Ileż razy spotykałam ich na szlakach moich reporterskich i literackich wędrówek po kraju? Próbuje sprawdzać i liczyć, sumując wspomnienia — ale szybko dają za wygraną. Wspomnień tych jest bowiem zbyt wiele. Gdzie spotykałam ludzi najciekawszych, z którymi rozmowy i dyskusje były szczególnie pasjonujące? Sieradz? Pułtusk? Bochnia? Pabianice? Piekary Śląskie? Cieszyn? Lepiej znów przerwać wyliczanie. Lista miejscowości i spis nazwisk byłby bowiem zbyt długi.

Są wśród nich ludzie różni. Ale zawsze widzę ich w tle i scenerii, która się wiąże z oświatą i kulturą. Bez nich nasze książki trudniej torowałyby sobie drogę do rąk czytelnika. Bez nich nie spoty-

kałoby się nawet w oddalonych miejscowościach naszego kraju zadziwiająco licznych świadectw i dowodów czytelniczej wrażliwości na słowo poety i pisarza, na dzieło plastyczne, na sztukę sceniczną i utwór muzyczny. Bez nich przepadłoby wiele tradycji i pamiątek naszej przeszłości. Bardzo serdecznie myślę o nich w przeddzień ich święta — o szeregowych pracownikach naszej kultury.

Bibliotekarze: to słowo wywołuje w mojej pamięci mnóstwo żywych, wyrazistych skojarzeń. Zasobne, dobrze wyposażone biblioteki w miastach wojewódzkich — i skromne biblioteki powiatowe. Biblioteki gminne i punkty biblioteczne we wsiach. Ludzie żyjący pod urokiem książki, obcujący z nią na co dzień, uparcie poszukujący wiadomości o pisarzach; ludzie nieustraszeni zabiegający o przyjazd popularnego autora, o żywsze, mocniejsze związanie go z czytelnikami. Ludzie, którzy potrafili upowszechnić książkę, różnymi sposobami zaszczeplić i podtrzymać zamiłowanie dla niej nawet w niesprzyjających warunkach, w ciasnych i mrocznych lokalach, wśród licznych przeszkód i trudności.

Księgarze: wierni, najlepsi sojusznicy bibliotekarza i — oczywiście autora. Księgarze podsuwający, podobnie jak bibliotekarze, nową książkę czytelnikom, służący im radą i wskazówką w kłopotach wyboru. Księgarze, borykający się z niedostatkami informacji o książce, z „kwadraturą koła”, jaką stwarzają niewystarczające nakłady i brak tytułów najbardziej poszukiwanych. Jest to bardzo typowa „choroba wzrostu”, nienadanie podaży książki za jej popytem, budzące wiele skądinąd słusznych narzeków czytelników — i... uzasadnioną zazdrość ze strony cudzoziemców, przybywających z tych krajów, gdzie książka jest droga, gdzie nie czytelnik zabiega o nią, lecz wydawca i księgarz zabiega o tegoż czytelnika.

Kierownicy terenowych domów kultury — żmudnie zestawiający program różnorodnych imprez, przyciągający prelegentów; ludzie którzy różnymi sposobami — filmem i „małym ekranem” telewizji, muzyką mechaniczną i ciekawym odcytem, starają się rozbudzić i podtrzymać wśród odbiorców kultury potrzebę wartości niewymiernych, a niezwykle cennych dla rozwoju osobowości każdego współczesnego człowieka.

mentach. W programie: muzyka dawna.

W piątym dniu festiwalu wystąpi Kwartet Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie. W wykonaniu młodych artystów obok Kwartetu nr 25 D-dur Wolfganga Amadeusza Mozarta usłyszymy polską muzykę współczesną, i tak: I Kwartet smyczkowy C-dur op. 37 Karola Szymanowskiego i III Kwartet smyczkowy Grażyny Baciewicz.

VIII Dni Muzyki Kameralnej zakończy występ Zespołu Madrygalistów Słowackiej Filharmonii w Bratysławie. Ten znakomity zespół uszłeliśmy w sali balowej zamku łańcuckiego przed dwoma laty. W bieżącym roku — jestem pewna — madrygaliści słowaccy zaprezentują nam znów koncert najwyższej jakości.

Niespodziankę zostawia się zwykle na zakończenie. Tak i ja czynię. Występy Warszawskiej Sceny Kameralnej oczekiwane są w Łańcucie zawsze z niekłamanym zainteresowaniem. W dniach 15 i 16 maja, po koncertach wieczornych. Warszawska Scena Kameralna pod kierownictwem Stefana Sutkowskiego przedstawi operę kameralną, a właściwie żart muzyczny. Cimarosa „Il maestro di cappella”, czyli „Kapelmistrz orkiestry”, w której kapelmistrzem będzie bas Bernard Ładysz. Operę poprzedzi koncert muzyki włoskiej.

Gdy nocą 17 bm. zgasną światła zamku łańcuckiego moja znajoma perkusistka zapewne westchnie: „Trzeba będzie czekać na taką ucztę znowu cały, okrągły rok!”

Westchnie z żalem nie tylko ona. Zakochanych w majowych wieczorach muzycznych w Łańcucie jest coraz więcej.

Przemyskie spotkania muzeów Polski



Fot. J. MENDYCHOWSKI

Ostatnio Muzeum Ziemi Przemyskiej zaprosiło do siebie na rendez-vous wszystkie bratnie placówki kraju, aby przedstawiły się, wspólnie pokazały swą specyfikę pracy. Jest to niecodzienne spotkanie, bo realizowane przez znakomitych reprezentantów. Plakat!

Kartą wizytową działalności placówek artystycznych i kulturalnych często bywa właśnie plakat. Plakaty polskich grafików znane są w świecie. Ich wysoka ranga artystyczna spowodowała, że za granicą mówi się powszechnie o polskiej szkole plakatu. Jej cechy charakterystyczne: ekspresja, czytelny i sugestywny skrót tematu, niepowtarzalny styl. Plakaty wydawane z różnych okazji pozostają w pamięci. Każdy z nas na pewno wyliczy kilka a nawet kilkanaście takich, które szczególnie przypadły do gustu, zapadły w sercu, urzekły.

Muzeum Ziemi Przemyskiej organizując wystawę polskiego plakatu muzealnego wyszło z ambitnych założeń pokazania plakatu z poszczególnych działów te-

**„Czterej pancerni i pies”
cieszą się
wielką popularnością**

Centrala Wynajmu Filmów w I kwartale 1968 r. wprowadziła do rozpowszechniania 42 nowe filmy. Największą frekwencją w tym okresie cieszył się film „Czterej pancerni i pies” w reżyserii Konrada Nałęczkiego, który zobaczyło ponad 245 tys. widzów.

W I kwartale br. kina państwowe i związkowe odwiedziło 2 094 tys. widzów. Jest to o 50 tys. więcej w porównaniu do I kwartału 1967 r.
J. Ł.

Międzynarodowej Kampanii Muzealnej. Notabene, wystawa przemyska z tej okazji została zorganizowana. Ale z polskim plakatem tak już jest, że jego wartości dokumentalnej od artystycznej nie da się oddzielić. I to jeszcze jeden sukces polskiej sztuki graficznej.

Wystawa w Przemysku pt. „Polski Plakat Muzealny” oszalała pięknem zbioru, przejrzystością i artyzmem eksponowania, za co ukłon dla E. Kalinowskiej. Spośród 250 plakatów otrzymanych z przeszło 80 muzeów z całego kraju wybrano niecałe 100, rezygnując z niejednego wartościowego egzemplarza w imię zachowania przestrzeni i światła, które są koniecznym warunkiem do właściwego pokazania dzieł plastycznych, a więc i grafiki.

Wystawę otwiera plakat Jerzego Treutlera II Międzynarodowa Kampania Muzealna. XX-lecie ICOM. Dalsze pokazują charakterystyczne momenty dla reprezentowanych placówek, przedstawiając jakoby swe zbiory. Ekspozycję zamyka grupa plakatów antywojennych, wydanych w Polsce w ostatnim dziesięcioleciu. Wywoda plakatów oświeceniowych z hasłami: „Przeciw wojnie”, „Nigdy więcej!”, „Pamiętamy!”, w różnych językach świata — wstrząsa!

W dniu otwarcia właśnie w tej części wystawy odtworzono z płyt sławną „Pamięć” Krzysztofa Pendereckiego.

Ekspozycja „Polski Plakat Muzealny” jest znakomitym popularyzatorem polskiego muzealnictwa, dobrym przyczynkiem do ułożenia racjonalnego planu turystyki urlopowej — czynna będzie w Muzeum Ziemi Przemyskiej w Przemysku do końca bm.

Przewiduje się, że w ramach wymiany kulturalnej między Rzeszowszczyzną i obwodem lwowskim, jeszcze w bieżącym roku wystawa zagości w sąsiedzkim Lwowie.
M. C. G.

Stanisław Issa — Bujak

* * *

Czy opiszę kroplę wody tak jak to odczuwam
Czy ukazę w skrócie powstanie pomysłu odblaskowego
Bo kropla kropli jest nierówna
Bo każda związana z wiatrem
Czystością powietrza nagraniem jego
Więc ją wyodrębnię zrównam z przedmiotem
Wpiję przez zielen w czas i osadzę w tle
Zamknę w ciekawej dłoni palcami oplotę
By nie zginęła w pełnym morzu
Wtedy zauważę zmienność ciepłoty
Jej picie wody narastanie ciała
Odróżnię
Raz jest gorąca parzy ciało
Przenika wtedy aż do poparzenia wnętrza
To znów jest zimna lecz nie lód
Gładzi chłodem delikatność skóry
Kroplę porównam do lusterka
Przez to ukazę odbicie światła
Światło upadło
Światło upadło załamało promień
Przypadł talerz złoty sąsiad bliski
Jest on zmęczony wysyłaniem siebie
I swego blasku po odbiciu
To odbicie jest silniejsze od poprzedniego
Wiązka promieni przestrzeń napawa
Niepamięć emituje soba
Czekam
Jakie są skutki mojego świecenia
Jego odbicie w zwierciadle czystości
Czy to jest światło Harona z Obolem
Czy to jest światło matki drugi raz brzemienniej

Henryk Jankowski

WIEDZA

Utarło się przekonanie, iż w przeciwieństwie np. do wiedzy fachowej, wymagającej gruntownego przyswojenia, umiejętność współzycia z ludźmi nabywana jest niejako sama przez się w toku wychowania w rodzinie, szkole itd., itp. A przecież umiejętność bycia członkiem społeczeństwa i obywatelem jest nie tylko co najmniej tak samo ważna, jak sprawność zawodowa, lecz również — jak sądzę — o wiele trudniejsza do zdobycia. Na umiejętność tę bowiem składa się wiele elementów wiedzy z różnych dziedzin oraz wiele sprawności. Chodzi m. in. o umiejętność współzycia, działania społecznego, działania politycznego, wartościowania moralnego, ustosunkowania się do obowiązującego prawa. Tych rzeczy człowiek nie przynosi z sobą na świat, a również rzadko kiedy wychowanie w domu i szkole tę umiejętność zapewnia.

To, co w naszym systemie wychowawczym się zawiera, jest, jak sądzę, wysoko niewystarczające i to z wielu względów. Moralność przekazywana jest w postaci tradycyjnej, choć nie zawsze religijnej. Powoduje to sytuację, w której młody człowiek wychowany w duchu tradycyjnej moralności będzie w ogólnych zarysach mógł słusznie oceniać stosunki przyjaźni, koleżeństwa, związki rodzinne, nie będąc jednocześnie w stanie poddać właściwej ocenie moralnej działań politycznych wraz z ich intencjami i konsekwencjami.

Częstokroć pewna suma wiedzy, którą przekazujemy z intencją wychowawczą, przyjmowana jest po prostu jako suma li tylko informacji. Gdy mówi się o funkcjonowaniu instytucji państwowo-prawnych, o historii i teorii moralności, o sytuacji międzyna-

rodowej, by ukierunkować postawy wychowanków, w istocie rzeczy wiadomości te przyjmowane są w ten sam sposób, jak informacje o kosmosie, o historii społeczeństw antycznych, czy też o zwyczajach i obyczajach ludów pierwotnych. W ten sposób nasze zabiegi w intencjach wychowawczych, w rzeczywistości nie spełniają tej funkcji. Pokutuje jeszcze w naszej działalności oświatowej i wychowawczej stare złudzenie intelektualizmu etycznego, zgodne z którym istnieje tożsamość wiedzy i postawy, wiedzy i działania. A więc sądzi się, że wystarczy dostarczyć wychowankowi pewnej sumy wiedzy, by w sposób niejako automatyczny zaczął się on nią kierować w swej codziennej działalności. Dotyczy to również ogólnych też związanych z różnicami między kapitalizmem i socjalizmem.

Wydarzenia marcowe w środowisku studenckim naocześnie pokazały nam, iż posiadanie pewnej wiedzy, a nawet zajmowanie związanej z tą wiedzą postawy za socjalizmem, nie oznacza jeszcze bynajmniej praktycznej umiejętności prawidłowej oceny faktów, intencji ludzi działających, a także treści ogólnych haseł, skądinąd w pełni szacownych. Powszechnie stwierdza się, iż ogromna większość studentów dała się pociągnąć umiejętnie podsuwanyimi hasłami do działalności, która w przewidywaniach organizatorów miała prowadzić do skutków całkowicie sprzecznych z motywami zaangażowania w wypadki licznych studentów. Z faktu tego należy wyciągnąć należyte wnioski.

Co to znaczy dać się wykorzystać do działalności sprzecznej z własnymi intencjami i preferencjami? Oznacza to, iż wykorzystuje się tutaj dwa elementy: po pierwsze rzuca się hasła w pełni zgodne z hierarchią wartości moralnych i politycznych adresatów, po wtóre zaś liczy się na ich cał-

Roman Turek

DO WIENCA

Pan Stefan Silberstein nie okazał się niewdzięcznym. Od czasu, jak wraz z wyzwoleniem terenów Rzeszowszczyzny wyszedł z zakonspirowanej kryjówki, i po skończonej wojnie ziemię polską opuścił, do Polaków, opiekunów swoich, przepelnione wdzięcznością listy pisywał. A gdy los przemysłowcem i potentatem kapitalistycznym go uczynił, do listów czeki o mocnej walucie zgoła nierzadko załączał lub w inny materialny sposób wdzięczność swą okazywał. Skierowując listy swe do głównego ze swych opiekunów, ob. Józefa Frączka, nie tytułował go inaczej, jak tylko „Kochany mój Ojczu”. Postępując w ten sposób dawał on niezbity dowód, że przechowywany wraz z rodzicami i dalszą nieco rodziną w przygotowanej przez Polaków kryjówce, przetrwał kilka lat grozy, żywiąc się zgoła nie spadającą z nieba manną, a chlebem tej ziemi.

Pan Stefan Silberstein był nietutejszy. Ojciec jego, jako pewnego rodzaju spec w fabrykacji włókienniczej, zajmował przed wojną jedno z kierowniczych stanowisk w fabryce sukna w Bielsku. Po aneksji Czechosłowacji przez armie Hitlera, pan Silberstein ojciec, przeczuwając grożące niebezpieczeństwo, przeniósł się wraz z żoną Sydonią i trzynastoletnim synkiem Stefanem, do pokrewnej bielskiej rąkarskiej fabryki włókienniczej w powiecie łańcuckim. Równocześnie przeniósł się z zakładów bielskich do rąkarskiej specjalista farbiarz

włókienniczy, szwagier Silbersteinów Henryk Feber, z żoną i córką Anną, dziewczęciem jak marzenie pięknym.

Otrzymałszy w fabryce rąkarskiej stanowiska kierownicze, obaj majstrowie pracowali tu zadowoleni, zdobywając sobie zaufanie administracji i przyjaźń wśród całej załogi fabrycznej. Wojna niemiecko-polska i początki okupacji hitlerowskiej nie od razu stały się groźnym memento dla mieszkańców Polski w ogóle, dla Polaków pochodzenia żydowskiego w szczególności. Lecz przyszedł czas, w którym zachłyśnięty odnoszonymi dotychczas sukcesami na frontach bojowych Hitler, wydał bezwzględny rozkaz:

Zlikwidować naród żydowski... Posłuszni określonej rozkazowi, prześladować Żydów zaczęli nie tylko siepacze gestapo, żandarmeria i Wehrmacht, ale każdy Niemiec, jakiegokolwiek by stanowisko zajmował. Przylapanych w grupach większych wywożono wprost do obozów śmierci, rodziny i osoby pojedyncze rozstrzeliwano na miejscu.

Równocześnie z wydaniem wyroku śmierci na ludność żydowską, ogłoszone przez okupanta zostały surowe nakazy dla Polaków, wazących się udzielać jakiegokolwiek pomocy nieszczęsnym Żydom.

Jako sankcja — spalenie domostwa i rozstrzelanie całej rodziny polskiej, za udzielenie pomocy, choćby pojedynczej osobie

I UMIEJĘTNOŚĆ

kowitą ignorancję, jeżeli chodzi o środki, które do realizacji owych haseł mają prowadzić.

Innymi słowy, liczy się na ideowe i moralne zaangażowanie oraz całkowity brak umiejętności myślenia i działania politycznego. W zjawisku tym jest mimo wszystko coś pocieszającego, a mianowicie to, że nawet chcąc wykorzystać młodzież przeciw socjalizmowi, trzeba używać argumentacji socjalistycznej. Tym, co dyskwalifikuje natomiast naszą działalność wychowawczą, to fakt, że zaistniała możliwość wmanewrowania części młodzieży akademickiej przy pomocy tej argumentacji o charakterze antysocjalistycznym. Innymi słowy, wszyscy ci młodzi ludzie, którzy dziś już widzą, iż padli ofiarą mistyfikacji, muszą zdać sobie sprawę z tego, iż myślenie i działania polityczne jest sprawą niełatwą.

Myślenia i działania politycznego trzeba się uczyć i należy nauczać. Przy czym nauczanie takie nie może ograniczać się do formy dotychczas stosowanej, zgodnie z którą uczniowie i studenci traktują przedmioty, które w swym założeniu mają uczyć polityki, jako po prostu dodatkowe obciążenia czasu i pamięci, jako wkuwanie dat, faktów czy personaliów. Umiejętność działania politycznego musi wiązać się ściśle nie tylko z pewną sumą wiedzy, która jest do tego niezbędna, lecz również z pewną sumą umiejętności. I tak, w polityce inaczej niż w nauce, ważne jest nie tylko to, co się mówi, lecz również to, kto mówi. Wzrost prawdy naukowej jest niezależny od osoby wypowiadającego. Deklaracje polityczne

mogą być zrozumiane właściwie tylko wtedy, gdy wiemy kto, z jakiej pozycji i w jakich intencjach je wypowiada. W prawdach naukowych drugorzędna jest rzecz, jak będą one rozumiane. W działaniach politycznych należy zawsze liczyć się z możliwą reperkusją tego, co się robi, i tego, co się deklaruje. W myśleniu i działaniu politycznym ważna jest więc nie tyle umiejętność złożenia ogólnych słusznych deklaracji, ile — w oparciu o przyjęte pryncypia — ocena konkretnych zjawisk społecznych, dokonanie właściwego wyboru politycznego oraz przewidywanie skutków działania wynikającego z owego wyboru.

Umiejętności takiej nie można nabyć na lekcjach, seminariach czy wykładach, aczkolwiek tam mogą być nabyte przesłanki owej umiejętności. Właściwym miejscem, w którym młody człowiek może i powinien zdobywać ową umiejętność, są organizacje młodzieżowe, różne formy społecznego działania. Tylko w umiejętności kierowanej praktyce działania społecznego i politycznego człowiek może nauczyć się niełatwej sztuki polityki. Przy

czym chodzi tu o wychodzenie z taką działalnością na zewnątrz. Mimo licznych braków w pracy byłego Związku Młodzieży Polskiej warto odnotować, iż jego członkowie poprzez liczne kontakty ze społeczeństwem ludzi dorosłych, a przede wszystkim poprzez kontakty międzyrodzinkowe, musieli nauczyć się znajdować wspólny język z różnymi ludźmi z różnych środowisk, bronić swoich racji, przekonywać innych. Pewne jaskółki w tym zakresie dadzą się zaobserwować i obecnie, chociażby w związku z ze wszech miar pożyteczną inicjatywą ZMS-owców z Uniwersytetu Warszawskiego, którzy w dniu 20 kwietnia na wielkim spotkaniu z młodzieżą robotniczą zapoczątkowali stałe kontakty i spotkania, które mają przekształcić się w trwałą współpracę.

Chodzi o to, by inicjatywy takie były jak najczęstsze i jak najszersze oraz, by były one związane z odpowiednią działalnością dydaktyczną wyższych uczelni i ich organizacji społecznych i politycznych.

HENRYK JANKOWSKI

Nowa wersja „Alicji w krainie czarów”

Nową filmową wersję znanej książki „Alicja w krainie czarów” zamierza nakręcić Roberto Faenza. Tytuł filmu: „H²S”. Ten tajemniczy wzór nie oznacza bynajmniej formuły chemicznej, lecz dwie siły rządzące, zdaniem autora, współczesnym światem. „H” to znak chemiczny wodoru, symbolizujący przemoc i zniszczenie, a „S” — znaczy sex, płytkie powierzchowne uczucia. „Alicja” będzie chłopiec zaplątany w sprawy naszego świata, szczerzy i naiwny, szukający czarów w szarej codzienności. Zamiarem twórcy jest ironiczne spojrzenie na sprawy trudne i poważne.



Kiermasz

Fot. M. KOPEC

DNI OŚWIATY, KSIĄŻKI I PRASY DNI OSWIATY KSIĄŻKI I PRASY DNI OSWIATY KSIĄŻKI I PRASY

DOKUMENTÓW PRAWDY

narodowości żydowskiej — świadomy był tego rozporządzenia każdy mieszkaniec, Polak i Żyd.

„Co czynić, jak ratować kolegów i ich rodziny? — wzburzenie wśród załogi pracowników fabryki sukna w Rakszawie nie miało granic. O dwu majstrach narodowości żydowskiej wiedział nasłany tu przez władze okupacyjne dyrektor; tuż obok fabryki stacjonował oddział SS, a niedaleko stąd mieścił się posterunek żandarmerii. Nie ma ani chwili do stracenia. Kierownik przedziału ob. Józef Frączek zwołał ciche zebranie najbardziej godnych zaufania pracowników. Wzięli w nim udział majstrowie: pierwszy mechanik Turk, z pochodzenia Jugosłowianin, maszyniści Dołęga i Marcinek, palacze i pomocnicy kotłowni, oraz stróże nocni Bartkowski i Panek. Jak dla utrzymania tajemnicy zespół stanowiąc za duży, w przypadku lekomyślnego wyjęzyczenia się i wyspy nie jedne tylko rodziny żydowskie utraciłyby życie

strów Żydów ni w mieszkaniach ich rodzin, żandarmeria wyjechała do Potoka, otoczyła domostwo Goldbergów, nie zastała w nim jednak nikogo. Rozwścieczeni



Mimo to, następnego dnia po zebraniu, dwaj majstrowie Żydzi i ich rodziny zniknęły z terenu zakładów włókienniczych; przybyła do zakładu żandarmeria nie znalazła poszukiwanych. W tym czasie zniknął z przysiółka Potok kilkunastoletni Goldberg — obywatel Rakszawy narodowości żydowskiej, syn zmarłego przed kilku laty właściciela młyna i bogacza, znanego z wysoko pojętej filantropii. Nie znajdując w zakładach włókienniczych dwu poszukiwanych maj

ni napotkanym zawodem żandarmami najeżdżali często zakłady włókiennicze w Rakszawie, przetrząsali tu każdy zakątek, ciągnęli za języki każdego z pracujących, zawsze bez skutku.

Tymczasem miejsce pobytu poszukiwanych Żydów znane było nie tylko wszystkim pracownikom fabryki, ale i wielu mieszkańcom wsi Rakszawa. Dwie zaś rodziny żydowskie i młody Goldberg, razem osób siedem, deptali, można by powiedzieć, poszukującej ich żandarmerii, nogami po głowach.

Kotłownia od maszynowni przedzielona jest tak zwaną ślepią ścianą muru, wysoką około 12 metrów. Za ścianą tą przebiegają liny pędne z koła napędowego maszyny parowej na tarczy transmisyjnej. Nad całością tych urządzeń sklepiony jest sufit a nad sufitem już tylko dach z blachy cynkowej. Tu owej pamiętnej nocy wywindowały się po linach pędnych obie rodziny żydowskie i Rafał, syn Goldberga. Przez niewielki otwór w ślepej ścianie, podane im zostały, po sznurze na bloczku, pościel i konieczne do urządzenia się jako tako przedmioty. Podczas skwarowego lata, zwłaszcza pod rozgrzaną od słońca blachą, można się było wściec od gorąca. Na to nie znalaziono rady. Na okres chłódów i zimy natomiast, zainstalowali tu mechanicy odpowiedni piec, pracownicy kotłowni nie żalowali podopiecznym środków opałow. Umówiony stukot młota po kowadło, każdego ranka dawał znać mieszkańcom poddasza, że ogień w piecu

rozpalać mogą, bez obawy; dym bowiem łączył się w kominie z dymem rozpalonego już pieca w warsztatach. Bywało, że poniektorej spokojniejszej nocy, w czasie nieczynnej szyci trzeciej, odważniejsi mieszkańcy poddasza, opuszczali się po linach pędnych na ziemię, by krzyszając ze swobody fiknąć koziołka, czy inaczej zeszytywniałe członki rozruszać. Służba nocna udawała ślepych. Zony opiekujących się lokatorami poddasza zdumiewały się z początku żarłoczności swych mężów. Nigdy dotąd nie zabierali oni z sobą przecież idąc do pracy tyle chleba, mleka, sera i masła a nawet wiktuałów w stanie surowym. Indagowani mężowie kłamałi jak mogli, nie ujawniając prawdy kobietom. Głównym zresztą dostawcą wszelkich potrzeb dla podopiecznej siódemki, stał się kierownik przedziału ob. Józef Frączek. Przyjawszy na siebie obowiązek zaopatrzeniowca, skupował produkty, gdzie i jakie się dało, byle tylko nie od czuwanego głodu na poddaszu. Portier nocny, Bartkowski, był tu jakby pośrednikiem i windiarzem w czasie postoju, podczas ruchu maszyniści i palacze zastępowali jego miejsce. Zdeteminowana odwaga i chęć niesienia pomocy bliźniemu w potrzebie, szły tu w parze z nieliczną się z niczym ofiarnością. Mimo to, trzeba przyznać, iż życie siedmiorga ludzi na poddaszu było niekończącym się pasmem męczarni i ustawicznego napięcia nerwowego. Żyli w ciągłej obojętnej o własne życie. Opiekunowie Polacy zaś, truchleli i o życie Żydów na poddaszu, i o życie własne oraz swych rodzin.

Jedni i drudzy przetrwali tę powyżej dwu lat trwającą udrękę. Z wyjątkiem Silbersteina ojca, który na krótko przed wyzwoleniem, ujrawszy pożar w

położu fabryki, padł zemdlny, stracił przytomność i nie odzyskał jej już z powrotem. Sprawili mu pogrzeb opiekunowie Polacy; nie po żydowsku, wprawdzie i nie chrześcijańsko, ale jak człowiekowi. Zabiła go radość, jak mówiono; identyfikując pożar z przyjściem pierwszych oddziałów armii wyzwolenczej, ze wzruszenia „pękło” mu serce.

Wkrótce potem żołnierze Armii Czerwonej wypędzili Niemców z terenów Rakszawy. Sześciorgo mieszkańców fabrycznego poddasza opuściło kryjówkę i zamieszkałszy na wsi długo jeszcze korzystało z pomocy materialnej swych opiekunów. Później, z chwilą ukończenia wojny, rząd PRL otoczył ocalałych Żydów troskliwą opieką, przydzielając im w pierwszej kolejności stanowiska pracy i możliwość kształcenia się. Obywatel Rakszawy Rafał Goldberg ukończył studia wyższe we Wrocławiu. Jak słuchać z niesprawdzonych wiadomości, jest on podobno w Izraelu. Nie doszły tu wiadomości, jaki jest jego stosunek do pierwszej jego Ojczyzny — Polski.

Stefan Silberstein wyjechał do Wiednia, skąd po ukończeniu studiów na wydziale chemii przeniósł się do Brazylii i osiadł w Sao Paulo. Doniósł on przed kilku laty, że uśmiechnęło mu się szczęście, stał się posiadaczem zakładów włókienniczych, nie mniejszych od rakszawskich. Stefan Silberstein nie zapomniał o swych opiekunach w Polsce, pisując pełne wprost synowskich uczuć listy, obdarowywał upominkami. Od niespełna dwu lat milczy jednak. Czyży i on pod wpływem światowej polityki syjonistycznej zapomniał, co w imieniu swej pierwszej Ojczyzny i stał się wrogiem Polski? Nie do wiary!...

Jan Grygiel

W kwietniu 1937 roku w samym sercu Puszczy Sandomierskiej, we wsi Pławo, zaczęły z hukiem padać stare sosny. Ciszę leśną przerwał zgrzyt pił, stuk siekier i loskot maszyn budowlanych. W ciągu 2 lat do 1939 roku powstały duże zakłady przemysłowe, które miały w przyszłości przeobrazić lasowiackich drwali i rolników w hutników, a wioskę Pławo w duże 30-tysięczne miasto. Mała, kilkutysięczna osada, która w tych latach wyrosła obok Zakładów Południowych, o dumnej nazwie, Stalowa Wola dziś obchodzi więc 30-lecie swoich dziejów jako prężne miasto socjalistyczne.

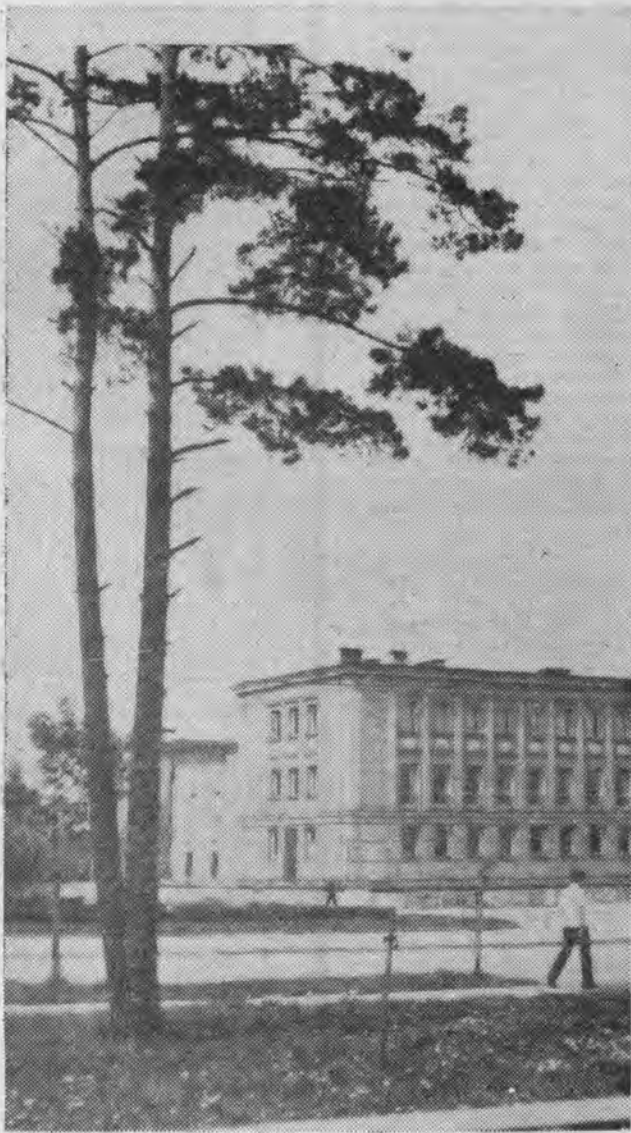
W listopadzie 1952 roku w tejże Stalowej Woli odbył się koncert znanej w całym kraju orkiestry Namysłowskiego. Impreza nie zasługiwałaby na przypomnienie, gdyby nie odbywała się w wielkim, pachnącym jeszcze świeżą zaprawą murarską gmachu; w sali widowiskowej, w której deski na pieńkach zastępowały fotele; na prowizorycznej scenie. Koncert rozpoczął działalność nowo wzniesionego Zakładowego Domu Kultury, który dziś przekroczył 15-lecie swojej działalności. Pionierskie warunki inauguracji nie przytłumiły entuzjazmu publiczności. To był wielki dzień w życiu małego jeszcze wtedy miasta.

Nieprzypadkowo wspominam te dwie chwile jednym tchem, mimo iż różnią się one rangą i znaczeniem historycznym.

Tak samo łączą te daty, widząc ich nierozdzielny związek Józef Biliński, kierownik ZDK i Józef Zmuda, długoletni reżyser i instruktor artystyczny tej placówki, gdy rozmawiam z nimi o jubileuszowej wiośnie w Stalowej Woli. To przecież właśnie w tym domu kultury kształtował się model robotniczej kultury w nowej społeczności, która powstała w cieniu kominów huty. Tu, dawni drwale, leśnicy, smolarze i chłopci, którzy powoli i z trudem przekształcali się w nowych blokach osiedla w pracowników wielkiego przemysłu, zdobywali swoją świadomość ideową. Tu wyrabiali swój smak artystyczny i nawyki kulturalne, do kształtali się zdobywając wiedzę o otaczającym ich świecie. W domu kultury rozbudowano ich głąb wartości kulturalnych i tu go zasposokowano. Nic dziwnego, że i teraz ZDK żyje intensywnie jubileuszem swojego zakładu i miasta, że jest głównym organizatorem święta, któremu nadano charakter wielkiego święta kultury.

Z naszej rozmowy wylania się w dziennikarskim notesie imponujący program obchodów rocznicy. Już w czasie akademii 1-majowej przedstawiono publiczności piękne widowisko, na które złożyły się najlepsze fragmenty z 15-letniego dorobku wszystkich zespołów domu kultury. Wystąpił zespół teatralny, zespół pieśni i tańca, chór, balet, dwa zespoły taneczne dziecięce i zespół estradowy. W finale śpiewano piosenki skomponowane na jubileusz: „Przez hutnicze miasto”, „Interludium hutnicze”, „W tym mieście nie milkną piosenki” itd.

W dniu 12 maja rozpoczęła się w Stalowej Woli wielka ogólnokrajowa impreza te-



atralna. Będzie to spotkanie robotniczych zespołów teatralnych pod hasłem „Teatry robotnicze ludzkiej pracy”. Udział w nim zapowiedziało 16 zespołów teatralnych, m. in. z Wrocławia, Szczecina, Łodzi, Chorzowa, Gdańska i Kielc. O poziomie, odwadze i ambicjach amatorskich scen robotniczych świadczy niektóre z pozycji repertuarowych zgłoszonych na festiwal: „Czapajew” — Furmanowa, „Raport z Monachium” — Brychta, „Punkt zwrotny” — Odojewskiego, programy pantomimiczne i spektakle poetyckie oparte na poezji współczesnej.

Na uroczystości jubileuszowe przybędzie również do Stalowej Woli 90-osobowy zespół robotniczy z zakładów Csepel w Budapeszcie, składający się z grupy artystycznej i sportowej.

ZDK organizuje w halach wydziałów huty imprezy estradowe połączone z quizem „Co wiem o Stalowej Woli”, wśród młodzieży konkursy na znajomość literatury polskiej, wystawę z 15-letniego dorobku w pracy kulturalnej domu kultury, spotkania literackie itp.

W związku z jubileuszem powstało przy ZDK Towarzystwo Miłośników Ziemi Lasowiackiej, które ogłosiło apel o gromadzenie pamiątek z przeszłości tej ziemi. W przyszłości przewiduje się zorganizowanie małego muzeum regionalnego.

Nie chcę przedłużać nużącego wyciszenia imprez związanych z obchodami rocznicy Stalowej Woli i ZDK, chociaż sporo jeszcze można by tu dorzucić.

Mógłby ktoś zapytać, czy również dynamicznie, z równym rozmachem przebiegała

praca kulturalna i artystyczna w Stalowej Woli w ciągu minionego 15-lecia. Można by podejrzewać, że to tylko jubileusz tak zaktywizował tu tejszy dom kultury. Znam jednak na tyle dobrze działalność tej placówki, by uniknąć niesprawiedliwych ocen. Znowu płyniemy na fali wspomnień. Pojawiają się fakty, cyfry, daty i nazwiska. Oto amatorski teatr robotniczy w Stalowej Woli działa nieprzerwanie od 1944 roku. Ma w swoim dorobku artystycznym przeszło 50 premier. Boję się nadmiaru wliczeń, ale nie mogę oprzeć się pokusie, by nie wymienić najbardziej charakterystycznych dla tego zespołu spektakli. Grano tu sztuki Żółkiewskiej, Skowrońskiego i Słowackiego, Leona Schillera, Wydrzyńskiego, Lutowskiego, adaptacje utworów Kawałca, Makarenki i Bratnego. Przewinęły się przez deski tej sceny najcenniejsze pozycje z repertuaru klasycznego — sztuki Zapolskiej, Moliere, Czechowa, Fredry, Tirso de Moliny, Słowackiego, Corneille'a, przeróbki sceniczne prozy Prusa i Sienkiewicza. Z tych zestawień wylania się oblicze teatru ideowo zaangażowanego, ambitnego artystycznie, stanowiącego dobrą szkołę kultury dla młodego środowiska robotniczego. O jego poziomie świadczy zajęcie przez stalowowolski zespół I miejsca w Ogólnopolskim Przeglądzie Związkowych Zespołów Dramatycznych w roku 1967 spektaklem „Kolumbowie — Rocznik 20” — Bratnego.

Oto zespół pieśni i tańca istniejący od 1953 roku. W skład zespołu wchodzi chór działający od roku 1939. Zespół opracowuje własne pro-

gramy regionalne, czerpiąc inspiracje artystyczne ze źródeł lasowiackiego folkloru.

Pojawiają się nazwiska zasłużonych działaczy kulturalnych, artystów amatorów związanych ściśle z tętmem życia ZDK: Józef Szporna, Stanisław Chruściel, Marian Bereżko, Władysław Pankiewicz i Tadeusz Grabara — wie loletni instruktorzy, reżyserzy i scenografowie zespołu teatralnego. Aleksander Wierchowski, najstarszy członek chóru, pierwszy kierownik ZDK, Wojciech Dudek najstarszy, najdłużej pracujący instrumentalista, Zbigniew Latko — najstarszy tancerz w zespole pieśni i tańca, Alojzy Szopa — długoletni dyrygent.

Przypominamy sobie zasłużonych dla placówki jej kierowników z okresu 15-lecia — Leonarda Czepika, który zbudował zwartą strukturę organizacyjną ZDK, a dziś czyni to samo w zawodowych teatrach jako dyrektor administracyjny (Teatr Ziemi Mazowieckiej), czy Władysław Bobka, który nadał placówce wysoki ton ideowego zaangażowania oraz szeroko rozbudował jej działalność oświatową. Warto przypomnieć, iż jednym z moich rozmówców jest Józef Zmuda, od kilku lat reżyser zespołu teatralnego i instruktor teatralny ZDK. Za wybitne osiągnięcia w upowszechnianiu kultury teatralnej w Stalowej Woli i za sukcesy artystyczne w dziedzinie reżyserii i adaptacji scenicznej otrzymał on w roku ubiegłym nagrodę twórczą WRN w Rzeszowie.

Ileż tu odbyło się masowych, atrakcyjnych i godnych upowszechnienia imprez. Organizowano spektakle estradowe w poszczególnych wydziałach huty pod nazwą „Przy sobocie po robocie”. Odbywały się co miesiąc imprezy rozrywkowe dla dojeżdżających pracowników zakładu. Tu było miejsce częstych przeglądów wojewódzkich i centralnych zespołów artystycznych zwią-

ków zawodowych. Zamierza się podjąć badania naukowe nad folklorem robotniczym, zorganizować obóz wędrowny poszukujący nowych materiałów folklorystycznych z regionu lasowiackiego dla zespołu pieśni i tańca ZDK. Trudno też wliczyć, ile gościło w Stalowej Woli zawodowych zespołów artystycznych, teatrów, zespołów estradowych i muzycznych.

Zarówno tradycje i doświadczenia w pracy kulturalnej, oświatowej, artystycznej, jak także zamierzenia na przyszłość świadczą bezspornie o tym, iż Stalowa Wola w ciągu swojego istnienia stała się dla całego województwa rzeszowskiego centrum robotniczej kultury. Miasto zyskało tę zaszczytną rangę nie dlatego, iż ktoś tak zaplanował czy zadekretował. Zdobyła ją dynamicznością rozwoju gospodarczego (największy ośrodek przemysłowy województwa) i chłonnością, zaangażowaniem się oraz pełną rozmachem, inicjatywą, energią działalnością na polu kultury. Jeśli model kultury preferowany przez działaczy w Stalowej Woli nazwał nieprecyzyjnie i nieobowiązująco kulturą robotniczą, to uczynił tak dlatego, iż treści wychowawcze, ideowe i poznawcze nasycające działalność ZDK są najbliższe postawie współczesnych środowisk robotniczych i najlepiej służą kształtowaniu ich świadomości. Budowanie zawodowej dumy hutniczej, regionalnego patriotyzmu opartego na dawnych chłopskich tradycjach i lasowiackim folklorze, umacnianie i twórcze wykorzystywanie współczesnego folkloru robotniczego stwarza model człowieka, na jakim nam zależy — przywiązanego do swojego zakładu pracy i na dobre zakorzenionego wśród sosen i piasków dawnego Pława.

Centrum robotniczej kultury województwa, to brzmi

(Ciąg dalszy na str. 6)

Z problemów rekrutacji na wyższe

CASSUS — LIMIT

W sytuacji kiedy wiadomo, że na około 90 tysięcy kandydatów na studentów dostanie się na pierwszy rok studiów maksymalnie niespełna 42 tysiące osób, opinia społeczna ma prawo do pełnej znajomości wszelkich mechanizmów decydujących o tym, kto i dlaczego zasłużył sobie na studencki indeks.

Ostatnio, zarówno w publikacjach prasowych, jak i w publicznych wystąpieniach poświęconych rekrutacji na wyższe uczelnie, wyraża się między innymi uwagi i zastrzeżenia w związku z istnieniem puli tzw. miejsc odwoławczych w praktyce przyjmowania na uczelnie. Warto więc poznać bliżej tę sprawę.

Podstawowym ciałem przeprowadzającym egzaminy wstępne na poszczególne kierunki studiów wyższej uczelni jest Wydziałowa Komisja Egzaminacyjna, złożona z pracowników naukowych wydziału oraz obserwatorów — przedstawicieli szkół średnich, a niekiedy także przedstawicieli organizacji młodzieżowych i politycznych. Komisja Wydziałowa ocenia kandydatów na studia, biorąc pod uwagę wyniki egzaminów pisemnych i ustnych oraz kryteria dodatkowe, jak np. pochodzenie społeczne i warunki rodzinne, opinia ze szkoły średniej, oceny z poszczególnych przedmiotów w ostatnich klasach szkoły średniej. Warto dodać, że w praktyce egzaminacyjnej dwu ostatnich lat dodatkowe preferencje sto-

sowano także wobec dzieci nauczycieli i pracowników szkolnictwa, młodzieży pochodzącej z małych miejscowości oraz wobec dzieci oficerów i podoficerów zawodowych WP, zamieszkujących peryferyjne miejscowości garnizonowe.

Kryteria kryteriami — jednakże życie wykazuje, że zdarzają się przypadki trudne do podporządkowania najszczerzejszym choćby przepisom. Jak wiadomo, na każde statystyczne wolne miejsce na uczelni przypada ponad dwóch kandydatów — są jednakże wydziały, gdzie na jedno miejsce kandyduje od pięciu do dziesięciu osób i grubo więcej młodych ludzi, niż pozwalają limity, nadaje się do przyjęcia na określony wydział. Tego typu sprawy, z którymi nie może sobie poradzić skrepowana ścisłymi przepisami Komisja Wydziałowa, kieruje się do Komisji Uczelnianej. Teoretycznie ilość spraw kierowanych do rozpatrzenia przez nadzredne Komisje Uczelniane winna wynosić 7 procent. 90 procent kandydatów winna bowiem rozpatrywać Komisja Wydziałowa. Trzeba zaznaczyć od razu, że owe „dyskusyjne” 7 procent, pozostające w gestii Uczelnianej Komisji Egzaminacyjnej, rozpatrywane jest również kolektywnie. Wydaje się więc, iż zasada ta powinna zostać utrzymana.

W okresie egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie wiszą

WYGRANEM!

(debiut)

Już stał w ringu, w swoim narożniku. Tak, czekał na tę walkę zżerany niepokojem o wynik. Czekał podniecony, ale nie zdenerwowany, jak rano kiedy zerwał się ze snu przytłumionego świadomością ciężkiego spotkania. Obawiał się, czego przed sobą nie ukrywał, bo przeciwnik nie odpowiadał mu stylem walki. Po prostu „nie leżał mu” jak powiedali chłopcy z drużyny. Wczoraj, kiedy siedzieli zebrani w lokalu klubu powiedzieli im wszyscy, że muszą wygrać, za wszelką cenę wygrać. Od zwycięstwa zależy bowiem dużo — powiedział jeden z nich. Każdy z chłopców wiedział co zależy od wygranej, tego im nie trzeba było powtarzać. Liczono na niego, uważano go za pewny punkt w drużynie, ale Andrzej zrozumiał, że czasy kiedy wygrywał z wszystkimi bokserami wagi półśredniej w Polsce minęły. Dawniej nie inkasował tylu ciosów, czego nie mógł powiedzieć o sobie od paru lat. Właściwie od trzech. Ale dawniej też nie dźwigał na barkach trzydziestu jeden lat i był szybki. Pieknie szybki. Zawsze mu przypominali koleźcy, że jest szybszy od błyskawicy po walce z Wielickim, mistrzem Polski, którego nazywano „błyskawicą ze Śląska”. A on był jeszcze szybszy od Wielickiego. Nie pojmował, co złożyło się na powszechną opinię o jego niewątpliwie wygranej, przecież stawał naprzeciw uznawanego za najlepszego w wadze półśredniej, młodego, o doskonałych zejściach z linii, mocnym uderzeniu, szybkim i celnym w zwraciacz pięściarzem. Usiłował znaleźć słabe strony stojącego już w narożniku Styczyńskiego. Fakt, spotykał się z nim parę razy i tylko raz wygrał, ale wszyscy, nawet ci

z gazet dostrzegli, że napracował się solidnie. Trener, którego nazywał Papa, podobnie jak inni, mówił coś do niego, prawdopodobnie udzielał ostatnich wskazówek przed walką, jednak jego słowa nie docierały do świadomości Andrzeja. Ten cholerny niepokój nie pozwalał na koncentrację myśli, porażał mięśnie. Zły był sam na siebie, bo nie posiadał żadnej koncepcji walki i jak na ironię, właśnie dzisiaj nie potrafił nic wymyślić, co by go zadowoliło. Zupełna pustka. Powtarzał bezmyślnie w pamięci: wygram, wygram, wygram. Czynał to bez głębszego przekonania, zabobnie na wszelki wypadek.

Obawa i prostacza trema wzrosły, gdy sędzia podszedł do niego i obmacał rękawice, a potem spojrzał w jego twarz. Poklepał go po plecach, jakby przez to chciał powiedzieć: Nie przejmuj się, jakoś ta walka przejdzie. I tak nie ma większych szans. Staraj się przetrwać do końca. Czuli i wiedzieli, że zaraz się zacznie, jeszcze zawołał ich na środek ringu, udzielił wskazówek na temat czystości walki, potem rozjeżdża się każdy do swego rogu i będą wyczekiwać gongu. Stojąc naprzeciw Styczyńskiego udawał, że słucha komunalów sędziego o walce bokserkiej, a prawdę powiedziaławszy obserwował twarz przeciwnika. Szukał w jego rysach niepokoju, ale nie takiego nie dojrzał. Kamienny spokój, obojętne spojrzenie — jak u dobrego pokrzyzisty. Musnęli się przez moment wzrokiem i odeszli do swoich sekundantów, czekać na gong.

— Jak? — zapytał Papa. — W porządku? — Chodziło mu oczywiście o rozpoznanie przeciwnika.

— W porządku — odpowiedział Andrzej próbując oszukać trenera. Papa jednak wyczuł, że nie jest jak należy i kiedy zagrzmiął chrapliwie gong rzucił prawie jak na pożegnanie:

— Andrzej! Pamiętaj, trzymaj go lewą.

Rozpoczęło się. Patrzył w oczy kadrowicza chcąc wyczytać zamiary, co do rozwiązania akcji. Obskakiwali się wyczekując na dogodną szansę ataku. Styczyński poruszał się leniwie szczerze kryjąc tułów i głowę. Należał do tych, którzy rozpoczynają akcję gwałtownie: doskakuje i biją seriami na korpus, starają się kończyć uderzeniem na szczękę. W pewnej chwili Andrzej zmylony balansem ciała przeciwnika znalazł się w opalch w samym narożniku. Skrył się za podwójną garda, ale ciosy odzuch. Uderzenia jak młotkiem spadały na jego ramiona, przedzierają się na barki, chlastały jak karabin maszynowy. Jakoś udało mu się wykorzystać nieuwagę przeciwnika i przytrzymał. Sędzia przerwał walkę i przeszli na środek ringu.

— Nie trzymaj — powiedział do Andrzeja sędzia i pokazał jeden palec, co miało oznaczać pierwsze ostrzeżenie i zaraz dorzucił: — Walczy! Nienawidził takich sędziów, którzy pozwalają sobie na tykanie, zawsze uznawał ich za źle wychowanych, a nigdy nie zdobył się na solidną odprawę. — Facet nie jest w porządku. A ten Styczyński jest szybki, diabelnie szybki — pomyślał. Muszę być lepszy. Nie wolno dopuszczać do zwracenia. Nie wolno. Styczyński nadal poruszał się na pozór leniwie, ale Andrzej wiedział, że zaraz może przyspieszyć i zaatakować jego korpus. Tak! Teraz, poszedł. Andrzej skontrował lewą i odskoczył. „Tak, dobrze! Tak musisz walczyć — pochwalał siebie. Jeszcze coś potrafisz”. Nim zdolał ocknąć się z zadowolenia nastąpił drugi atak. Kontra lewym i poprawka prawym. Widział zdenerwowanie w oczach przeciwnika. Do-

strzegł ten charakterystyczny błysk spojrzenia mówiący: Czas już skończyć. I to szybko.

Już nie chybał się w lewo i prawo skłębiony za zasłoną ramion. Pracował nogami więcej, przyspieszał tempo walki, ale Andrzej tego się nie obawiał, bo kondycyjnie czuł się doskonale. Znowu odparł despe-



Rys. J. SIENKIEWICZ

racki atak Styczyńskiego tak samo jak poprzednio. Następną akcją rozpoczęła się nagle, nim zdążył ochłonąć po poprzedniej akcji. Poczuli uderzenie młota w głowę i nie rozumiał dlaczego nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Upadł na kolana. „Muszę już wstać, już czas do roboty. Nie można leżeć bez końca w łóżku” — walczyła jego świadomość. — Nie, do diabła przecież to ring i ten cholernie mocny Styczyński. Dalem się zaskoczyć... Tak... tak... potrzasać głową. To pomaga. No, nareszcie dobrze. Dopiero doliczyć do pięciu”.

Poderwał się, ale sędzia liczył do ośmiu, a potem spojrzał mu w oczy, żeby wiedzieć czy pozwolił na dalsze prowadzenie walki.

— Walczy! rzucił krótko, a pięści Styczyńskiego frunęły po twarzy Andrzeja. Teraz już nie dał się nabrać. Wpadł w kłęcz i symulował walkę w zwraciu. „Już dobrze, unikaj jego lewej, trzymaj go na dystans — pouczal samego siebie — lewa i odskok”. Parę razy udało mu się nawet dosięgnąć lewą przeciwnika, jednak nie robiły na nim większego wrażenia i Styczyński parł do przodu, zadawał ciosy z lewej, prawej, które mimo cudów odwrotu dochodziły łagodzone odskokami. Spóźniał się, nie był tak szybki jak przed knock downem, jedynie unikał zabójczych serii z obu rąk. Przegrałem — myślał — przegrałem tę rundę i przegram następne. Bardzo wysoko prowadzi. Przegrałem, byle nie przed czasem. Było dotrwać do końca trzeciej rundy”. Nie wyczuwał momentu rozpoczęcia akcji przez Styczyńskiego i w duchu wściekał się kiedy jego piersi i twarz spłaszczaly rękawice przeciwnika. Brał solidne lanie, jakiego nie oberwał jeszcze nigdy. Obijał go młody chłopak przy całkowitym milczeniu publiczności, jego publiczności zrywającej się do dopingu, kiedy udawała się akcja, ale jemu nie wychodziła żadna. Po prostu unikał walki, a nie mógł uniknąć uderzeń. W pewnej chwili dopatrzył się w rysach Styczyńskie-

go koncentracji i instyktownie poszedł naprzód lewym. Dostał go i niemal natychmiast rozległ się potężny okrzyk zachwyty tłumy. „Dobrze, że go zaskoczyłem, bo polował na zabiegający cios — przemknęło mu przez mózg. Niewiele brakowało do nokautu”. I wreszcie zabrzmiał gong. Usiadł ciężko na stołku i poddał się zabiegom Papy, który w trakcie wycierania go ręcznikiem udzielał spokojnie rad. Słuchał bez wiary równocześnie klnąc na siebie w duchu. Po co mu ten boks? No po co? Przecież nie te czasy kiedy wygrywał walki i był najpewniejszym punktem drużyny. Ta walka powinna mu wreszcie rozjaśnić w głowie. To musi być ostatnia jego walka. Koniecznie ostatnia. Zamiast na treningi mógł chodzić na spacer, a teraz nie musiałby wypruwać z siebie sił. Leżałby spokojnie na trawie, beczelnie beczelnie dopóki by mu się nie znudziło, a później włożyłby się po ulicach Stalowej Woli, tak sobie, dla zabicia czasu. I poszedłby z kolegami do re-

baczenia, ale już nie na ringu. Tylko w kawiarni, albo gdzie indziej”.

Próbował prowadzić walkę jak nakazywał Papa. Przez całe starcie unikał uderzeń młotków i baczył na zapędy ciężkiego pracującego Styczyńskiego. Jego też opuszczały siły. Nic dziwnego: cała walkę atakuje, wciąż prze do przodu, pędzi Andrzeja, który trafiał nieczęsto, ale odczuwalnie. Druga runda przebiegała według obliczeń Andrzeja; klincze, trzymanie, symulacje, kilkanaście czystych prawych i lewych z oczywistą przewagą Styczyńskiego. Ale koniec starcia nie mieścił się w wyobraźni Andrzeja. Oberwał znowu dwa razy pięścią-młotem aż przysiadł i nim sędzia dobiegł do niego nastąpił koniec drugiego starcia i Andrzej czym prędzej wykorzystał ten fakt rozwalając się na stołku podstawionym przez trenera.

„Powinien mnie liczyć. Zamroczylem”.

— Mówiłem ci, że lewa — prawa i odskok, że musisz być szybki — rzucił pośpiesznie Papa wachlując jak by pragnął wyzwoić resztę sił z ciała Andrzeja.

— I tak przegrałem — wywnioskował Andrzej.

— Bo nigdy nie byłeś dobry. Ani dzisiaj, ani kiedykolwiek. Nigdy!

Nie odezwał się słowem. Zaciął się. Był skłonny wstać, wpaść na środek ringu i walczyć. Niech go nareszcie skończy, niech wszyscy mówią, że nigdy nie był dobry. Oni nie byli dobrzy. Nigdy. Do cholery, a kto wygrywał walki, kto nie miał przeciwnika w Polsce? Każdy przegrywał z nim przed czasem. Każdy! A teraz potrafił ktoś powiedzieć, że nigdy nie był dobry.

Gong. Nareszcie. Wpadł z impetem na Styczyńskiego. Podniósł się niesamowity wrzask aż wydawało się, że zaraz runie strop hali. Tłum krzyczał, tupał, a on znowu dopadał przeciwnika w roku ringu i okładał lewą, prawą. Potem patrzył jak bezwolnie Styczyński osuwa się na matę i usłyszał głos sędziego. Instyktownie cofnął się do pustego narożnika. Wstuchiwał... dwa, trzy, cztery... Jak przez mgłę docierały opętane wiwaty kibiców.

I padła komenda: walczyć! Nie poszedł na całego tylko badał lewym prostym, aż przekonał się o zmęczeniu przeciwnika markował rozpoczęcie akcji lewym sierpem, a prawym zamachowym wymierzył mordercze uderzenie na jakie było go tylko stać. Doszło do celu. Styczyński, jak ścięty padł na kolana. I gdy sędzia doliżył do sześciu podniósł się zamroczony. Lecz ręcznik sekundanta znalazł się na macie.

— Gniewasz się na mnie? zapytał Papa zarzucając Andrzeja ręką na kark.

— Wygrałem — odpowiedział krótko.

Trener poklepał go po plecach i zakwitł tym swoim półgębny uśmiechem jakby miał powiedzieć: „Czasem tak trzeba, żeby wygrać”. Nie odezwał się jednak ani słowem. Czekał na werdykt sędziowski ogłaszający zwycięstwo podopiecznego.

uczelnie

REKTORSKI

na tablicach ogłoszeń zawiadomienia, że każdy z kandydatów nie przyjęty na studia przez komisję wydziałową czy uczelnianą ma prawo, w terminie siedmiodniowym, odwołać się do decyzji rektora. Tzw. limit miejsc rektorskich związanych z niniejszymi odwołaniami wynosi pozostałe 3 procent.

Do współdziałania przy rozpatrywaniu spraw odwoławczych rektor uczelni może zaprosić szerszy kolektyw, ale nie ma takiego obowiązku. W praktyce więc rektorzy postępują różnie, w zależności od własnego uznania. Nikt nie ma bynajmniej zamiaru kwestionować rektorskiego autorytetu i uczciwości. Wydaje się jednak, że właśnie dla potwierdzenia i ugruntowania owego autorytetu i szacunku dla pozycji rektora, przede wszystkim samym kierownikom uczelni winno zależeć na kolektywnym, komisyjnym załatwianiu tzw. miejsc odwoławczych. Wydaje się również, iż wyraźne określenie w przepisach warunku komisyjnego rozpatrywania spraw z „limitu rektorskiego” stanowiłoby najskuteczniejszą obronę przed różnego rodzaju interwencjami „ustosunkowanych” ludzi, usiłujących wymóc na rektorach przyjęcie ich protegowanych poza obowiązującymi, obiektywnymi kryteriami, stosowanymi przez wydziałowe i uczelniane komisje egzaminacyjne.

TADEUSZ JASZCZYK

Tadeusz Kubas

ZOSTAŃ

słońcem nazwana
wracasz odchodząc:

kwiatem nazwana
łatwo
barwy trącisz

metafory
rozdajmy bogatym

rozdajmy metafory

choć cząstką
naszego żywiołu
zostań

naszego
powszedniego
żywiołu

Marina Vlady w filmie o życiu Czechowa

Niedawno w pobliżu podmoskiewskiej wsi Pietrowo-Dalnie nakręcono pierwsze zdjęcia do radziecko-francuskiego filmu fabularnego „Temat na małe opowiadanie”. Film ten reżyseruje Sergiusz Jutkiewicz wg scenariusza Leonida Malugina. Będzie to opowieść o życiu Antoniego Czechowa. Jedną z ról — Liki Mizinowej — objęła znana aktorka Marina Vlady.

W wywiadzie udzielonym „Litteraturnej Gazecie”, reż. Jutkiewicz tak mówi o swej pracy: „Nie będzie to nic więcej, jak tylko fakty z życia Czechowa. Jednocześnie pragnę poruszyć problem procesu twórczego, stosunku artysty do społeczeństwa, jego związku z okresem, w którym żyje”. Scenarzysta Leonid Malugin, mówiąc o noweli, która posłuży jako literackie tworzywo filmu, stwierdził, że chodziło mu przede wszystkim o podkreślenie wierności powołaniu i odwagi pisarza.

— Gdyby mnie ktoś zapytał, dlaczego kocham teatr,

odpowiedziałabym: dzięki Czechowowi — powiedziała Marina Vlady. — Bałam się sceny, dopóki nie wystąpiłam obok mych siostr w paryskim przedstawieniu „Trzy siostry”. Powodzenie było ogromne, daliśmy 235 spektakli przy kompletach widowni. Praca w filmie nie pozwala mi jednak na częstsze występy na scenie — grałam dotychczas zaledwie w trzech sztukach. Chciałabym dodać, że przed kilku laty wystąpiłam też w niewielkiej roli w ekranizacji „Stepu” Czechowa, dokonanej we Włoszech.

Kiedy przygotowywałam się do roli w „Trzech siostrach” wiele czytałam — zarówno utwory samego Czechowa, jak też jego korespondencję, książki o jego życiu, twórczości. Wówczas też dowiedziałam się o jego nieudanym romansie z Liką Mizinową. Zakochałam się w tej dziewczynie i wcale nie dziwię się Czechowowi, że stracił dla niej głowę.

Nasze zadanie podczas realizacji filmu polegać powin-

no przede wszystkim na dążeniu do odtworzenia atmosfery czechowskich opowiadań i sztuk, w których znalazła pełne odbicie osobowość pisarza. Autor „Wujaszka Wani” nie znośił wielość i my też powinniśmy starać się maksymalnie ograniczyć dialogi, a uzyskać to, co określamy „podtekstem”. Scenariusz kryje w sobie takie możliwości, a wykonawca roli Czechowa, Mikołaj Grińko, wytypowany został — moim zdaniem — niezwykle trafnie.

Oczywiście, dialogi w filmie wygłaszam po rosyjsku — podobno bez francuskiego akcentu. Trochę kłopotu mam ze śpiewem. Lika pięknie śpiewała i w scenariuszu przygotowuje się, aby zostać zawodową śpiewaczką. Moim konsultantem przy wykonywaniu rosyjskich romansów będzie matka, która doskonale pamięta ówczesną ich interpretację. Być może, uda się jej nawet przyjechać do Moskwy.

Najpiękniejsza pasja

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Kierownicy zespołów teatralnych, chórów i orkiestr amatorskich, to ludzie, za których sprawą żyje do dziś niejedna tancerka i pieśń, niejeden oryginalny rys bogatego folkloru polskiego.

Wiele się zmieniło w naszym współczesnym świecie, wiele zaszło w nim przeobrażeń — ale wciąż wielka i znaczna rola w upowszechnieniu kultury pozostaje w rękach nauczycielstwa. W miastach wojewódzkich, a także w powiatowych spotkać można jeszcze jeden typ ludzi urzeczonych kulturą: są nimi mi-

łośnicy regionu, tropiciele jego przeszłości, kolekcjonerzy wiadomości historycznych, pamiętek i dokumentów, dotyczących ich miasta, ich miejscowości, ich osady. Są to ludzie bezinteresownie oddani pasji i umiłowaniu, jakim jest najbliższy ich sercu zakątek, jego przeszłość i tradycja. Wędrując w teren, często rozpoczynam moje penetracje pytaniem, skierowanym pod adresem władz kulturalnych i oświatowych: — Czy jest u was ktoś zakochany w waszym mieście, w waszej osadzie. Ktoś, kto szpera w archiwach, zestawia wycinki prasowe, gromadzi pamiętki,

notuje wspomnienia najstarszych mieszkańców? Rzadko się zdarza, żebym na takiego zapaleńca nie natrafiła w Polsce powiatowej. Nieraz znajdowałam takich, których własne zbiory, gromadzone kosztem wielu trudów i wyrzeczeń, wzbogacały muzeum lub stawały się tych muzeów początkiem. Nieraz spotkałam takich, których archiwalne dociekania wzbogacały wyniki poszukiwań naukowców, artystów, pisarzy.

Myszę o nich w przeddzień ich święta. Świętem tym jest Dzień Pracownika Kultury. Myszę o spotkaniach z nimi, o ich opowieściach i wspomnieniach, o ich relacjach, które nieraz wspomagały moją własną literacką pracę. Myszę przede wszystkim o cechującej ich bezinteresownej, gorącej pasji, która nazywa się: polska kultura. Bez niezliczonej armii skromnych, szeregowych pracowników kultury uboższe byłoby nasze życie i nasza teraźniejszość. W Dniu Pracownika Kultury należą im się serdeczne życzenia z dwóch stron — od polskich twórców wartości kulturalnych i od odbiorców tych wartości. Razem z tymi, którzy wartości owe upowszechniają, tworzymy wszyscy bogatą, niepodzielna o czystą kulturę.

MONIKA WARNEŃSKA

Ile jest „prawdziwych” Rembrandtów

Niedawna zapowiedź dyrektora znanego nowojorskiego Metropolitan Museum o zrewidowaniu autentyczności niektórych wystawionych w salach tego muzeum płócien Rembrandta wywołała zdumienie wśród szerokiego kół publiczności. Eksperti natomiast nie wyrazili bynajmniej zdziwienia. Podobnie jak wszystkie inne wielkie muzea, również Metropolitan stale bada autentyczność swych skarbów sztuki, a wśród nich również kolekcję 31 obrazów Rembrandta — jednej z trzech największych na świecie, obok Ermitażu i Luwru. Trzy obrazy zakwestionowano jeszcze w roku 1954, m. in. znany obraz przedstawiający kobietę obcinającą paznokcie. Również w Londynie Galeria Narodowa przeniosła w roku 1960 trzy obrazy mistrza do kategorii „przypisywanych” artyście lub pochodzących z jego „szkoły”.

Wypada stwierdzić, że w skali światowej liczba obrazów Rembrandta wydatnie zmalała w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Tak np. jeszcze w roku 1923 pewien niemiecki historyk sztuki podawał listę ok. 700 obrazów mistrza. W roku 1942 duński historyk sztuki, Abraham Bredius, zredukował tę liczbę do 620, w ubiegłym zaś roku zachodni-niemiecki autor Kurt Bauch zmniejszył ją do 550. Czy jest to już ostateczna lista autentyków rembrandtowskich? Bynajmniej. W październiku bież. roku ma wyjść jeszcze bardziej „ostateczny” katalog opracowany przez Holendra Horsta Karela Gersona, który włącza doń tylko 450 dzieł.

Odbywa się jednak także proces odwrotny: ponownej „rewindykacji” autentyczności zakwestionowanych dzieł. Sprawa bowiem nie jest bynajmniej tak prosta, jak by się to mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Rzecz w tym, że w latach trzydziestych XVII wieku, na samym początku swej działalności artystycznej, Rembrandt uruchomił atelier z kilkudziesięcioma „uczniami”, wśród których znajdowały się dojrzałe wybitne talenty. Dając początkowy projekt wykonywany przez któregoś z uczniów, mistrz kładł ostatnie pociągnięcia pędzla, niekiedy nawet podpisując tego rodzaju dzieła. Dlatego też niektórzy eksperci uważają, że „istnieją różne stopnie prawdziwości Rembrandtów”.

(Kt-PAP)

Ignacy Witz

Felieton plastyczny

EKSPRESJA EKSPRESJONIZM

W związku z istotnymi przekształceniami obecnie zachodzącymi zarówno w sztuce światowej, jak i w sztuce polskiej, w związku z tym, że coraz wyraźniejsze jest dążenie do nawiązania cztelniejszych więzi pomiędzy sztuką a człowiekiem, coraz częściej słyszy się termin: ekspresja, ekspresjonizm.

Mimo że te słowa są bardzo do siebie podobne, nie znaczą tego samego, a wzięte oddzielnie, gdy zaczynamy je od różnych stron rozpatrywać — ujawniają rozmaite swe znaczenia. Co prawda, są one zawsze w jakimś punkcie zbieżne, gdyż najogólniej biorąc określają formę, kierunki, szkoły artystyczne, stawiające sobie za cel wywołanie poprzez dzieło sztuki określonego i silnego wrażenia. Od kiedy istnieje więc sztuka, istnieją w niej wątki ekspresyjne. Mogą one istnieć w każdym dziele sztuki, nie burząc ani jego poezji, ani innych uczuć, które skomplikowane dzieło ma wzbudzać. Ekspresyjne były rzeźby egipska i grecka, hinduska i aztecka. Ekspresyjnymi w swym spokoju, prostocie, były też bizantyjskie mozaiki Raveiny, zaś „Sąd ostateczny” Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej w Watykanie jest jak gdyby najwyższym ucieleśnieniem ekspresji przejawiającej się w kształtach gwałtownych i nieokreślonych. Ekspresyjni są Delacroix i Goya. Ekspresyjni byli zawsze Matejko i Michałowski, Wojtkiewicz i Witkacy. Ekspresyjni byli wszyscy ci twórcy, którzy chcieli powiedzieć coś więcej niż tylko rzeczy estetyczne.

Przyszedł jednak czas, kiedy ekspresję w sztuce podniesiono do rangi programu artystycznego. Kiedy stała się ona nakazem formalnym, a nie tylko nakazem ducha poszczególnej indywidualności, lub mniej lub bardziej uświadomianym wymaganiami czasu. Taki program, taka tendencja zrodziła się na przykład w latach trzydziestych, przyjmując na siebie nazwę ekspresjonizm. Był to kierunek dynamiczny, namiętny, chętnie sięgający do wyrażania protestu, podważający mieszczańskie obyczaje, moralność, estetykę.

Patrząc z oddalenia, kierunek był ciekawy i żywy. Ale był tylko kierunkiem, który przeszedł, jak sądzę, pełny cykl swojego rozwoju i jego nieliczne dziś niedobitki karmią się tylko odbłaskami dawnej sławy. Natomiast nowe, niepodobne do niczego w przeszłości, wzbogacone doświadczeniami abstrakcyjnych poszukiwań usiłowania dzisiejsze, zwłaszcza artystów generacji młodych, niewiele mają do czynienia z ekspresjonizmem, jakkolwiek ekspresję traktują jako podstawowy, a nieraz i rozstrzygający element swej sztuki. Chcą oni czegoś innego, świat jest bowiem inny i o rzeczy odmienne tu chodzi. Niemniej jednak esteci, którym wroga jest wszelka koncepcja sztuki duchowo zaangażowanej w problemy ludzkie, sztuki namiętnej, chociaż często nieprzyjemnej i przykrej — chcą jej przeciwdziałać szermując nieodmiennie słowem: ekspresjonizm. A więc układają tę całą niecierpliwą serca w szufladkę utartego terminu, kierunku, mówiąc: wszystko to już było, wszystko to jest nam obce, gdyż my dążymy do harmonii.

Nasz świat, jakbyśmy go nie kochali, jakbyśmy nie pragnęli go ocalić, jest dramatyczny i niepokojący. W kleszczach wojen, zbrodni i wielkich porywów historii, zmusza wiek nasz sztukę do krzyku. I przytakuje u nas temu, co mówię, spuścizna artystyczna Linkego, Wróblewskiego, Cwernarskiego, nawet Zbigniewa Pronaszki, jego ostatnie, wyrwane samotności martwe natury, i Kowarskiego romantyczny „Wędrowiec”, którym każdy z nas jest w jakimś stopniu.

Toast za wierną służbę

(Ciąg dalszy ze str. 4)

dostojnie, ale pociągają za sobą wiele zobowiązań. Stalowa Wola winna mieć ambicję istotnego przewodzenia kulturalnego. Winna się troszczyć, by piękne ogólnopolskie imprezy artystyczne zespołów związkowych, które często się tu powtarzają, za gościły na stałe w tym mieście. W stalowowolskim ZDK widzę już coroczny stały festiwal pod nazwą „Teatry robotnicze ludziom pracy”. Tu powinno się co roku organizować ogólnopolski plener malarski lub co najmniej plener dla artystów z naszego województwa. Tu winna powstać zakładowa galeria sztuki ukazująca w sposób wzorcowy symbiozę sztuki i owoców trudu klasy

robotniczej, wyobraźni i pejzażu przemysłowego. Tu jest miejsce na seminaria, kursy, narady związkowych działaczy kulturalnych. Największy zakład w województwie może fundować stypendia twórcom dla twórców, związać ich z sobą, by później korzystać z ich dzieł. Oczywiście dla pełnego realizowania tej idei konieczne jest współdziałanie i pomoc wielu czynników i instytucji — przede wszystkim związków zawodowych, ale chyba wymaga tego dobre sprawy.

Na pewno nie wszystkie stosowane w ciągu 15 lat przez ZDK formy oddziaływania zdawały egzamin, nie wszystkie trafiały do umysłów i serc adresatów, ale zawsze starano się realizo-

wać społeczne zamówienie, nie poprzez schlebienie guścikom, lecz drogą polityki kulturalnej, zgodnej z wymogami współczesności szeroko pojętej. Starano się zresztą nie tylko odpowiadać na społeczne zamówienie, lecz również kształtować społeczną potrzebę kultury w młodym środowisku. Nic dziwnego, że w roku 1966 ta placówka otrzymała z rąk I sekretarza KW PZPR Władysława Kruczka Odnakę Tyśiąclecia Państwa Polskiego za dobrą służbę klasie robotniczej. Stalowej Woli i jej głównej placówce kulturalnej — w dniach jubileuszu życzyć należy dalszych tak dynamicznych 30 lat rozwoju i działalności dla dobra kultury polskiej.



Kraszczyński relikw polskiego renesansu

Fot. M. NYCZEK

Egzamin kwalifikacyjny nauczycieli

Rokrocznie kilkanaście tysięcy młodych nauczycieli różnych typów szkół i wychowawców składa egzamin kwalifikacyjny.

Nauczyciele ci po ukończeniu zakładu kształcenia nauczycieli lub innej wyższej uczelni oraz zdobyciu dyplomu uprawniającego do rozpoczęcia pracy w określonym typie szkoły, przystąpi do pracy pedagogicznej w szkole i po upływie dwóch lat pracy zawodowej zgłaszają się do egzaminu kwalifikacyjnego.

Egzamin ten ma duże znaczenie dla każdego nauczyciela. Przed jego złożeniem nauczyciel jest pracownikiem tymczasowym, z którym władze szkolne zawarły tylko umowę o pracę. Mianowanie nauczyciela następuje po uzyskaniu przez niego pełnych kwalifikacji, tj. po zdaniu egzaminu kwalifikacyjnego. Egzamin kwalifikacyjny oznacza dla nauczyciela nie tylko stabilizację w zawodzie, ale także przyczynia się do podniesienia jego umiejętności zawodowych.

W swej pracy przygotowawczej do tego egzaminu nauczyciele napotykać szereg trudności. Chcąc przysiąc im z pomocą, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych wydały ostatnio książkę Kazimierza Kotarskiego pt. „Egzamin kwalifikacyjny nauczycieli”.

Autor tej książki w pierwszej części swej pracy, zatytułowanej „egzamin kwalifikacyjny w świetle przepisów”, daje czytelnikowi wyczerpujące informacje o kwalifikacjach naukowo-pedagogicznych i zawodowych nauczycieli i wychowawców, szeroko omawia sprawę praktyki pedagogicznej i egzaminu kwalifikacyjnego. Przygotowujący się do egzaminu kwalifikacyjnego nauczyciele znajdą w tej części informacje: kiedy i jak zgłaszać się do egzaminu, jaki jest zakres i treść wymagań egzaminacyjnych i tryb przeprowadzania egzaminu, a także informacje o omówienie wszystkich ważniejszych ustaw i zarządzeń władz szkolnych, których znajomością musi się wykazać zdający egzamin.

Ponieważ w myśl wskazań egzaminacyjnych w okresie przygotowania się do tego egzaminu nauczyciel powinien przestudiować pewną ilość publikacji z zakresu psychologii i pedagogiki, autor książki daje czytelnikowi wiele wskazó-

wek, jak studiować książki pedagogiczne.

Część pierwszą pożytecznej książki Kotarskiego zamykają uwagi o lekcjach i ich analizie oraz samooceńce lekcji przeprowadzonych przez nauczyciela w czasie egzaminu.

Na drugą część książki składają się „wybrane zagadnienia” dotyczące szkoły i nauczyciela, z którymi młody nauczyciel musi się dokładnie zaznajomić przed przystąpieniem do egzaminu kwalifikacyjnego. Pierwszym z nich są przedstawione w sposób wyczerpujący założenia ideowe systemu nauczania i wychowania w Polsce Ludowej i zagadnienia organizacyjne obecnego systemu szkolnego, obszerne informacje o administracji szkolnej i jej zadaniach, o organizacji roku szkolnego, zasadach planowania pracy dydaktycznej i wychowawczej, o organizacjach młodzieżowych i uczniowskich i ich zadaniach ideowo-wychowawczych.

Drugą grupę „wybranych zagadnień” stanowią prawa i obowiązki nauczycieli. Autor książki omawia tutaj stosunki służbowe nauczycieli w świetle obowiązującej ustawy; ich obowiązki jako wykładowców i wychowawców, zadania, skład i organizację rady pedagogicznej, zadania nauczycieli i szkoły w zakresie organizacji czasu wolnego dzieci i młodzieży.

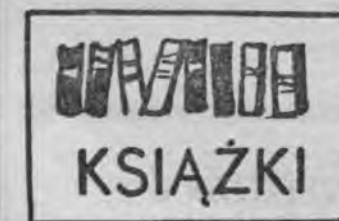
Ostatnią grupę „wybranych zagadnień” stanowią kontrola i ocena uczniów w nauce i za-

chowaniu. Kotarski informuje tutaj młodych nauczycieli o znaczeniu pedagogicznym kontroli, omawia wytyczne regulaminu klasyfikowania i premiowania uczniów, oceny ze sprawowania, egzaminów poprawkowych, egzaminu dojrzałości oraz podaje wskazówki dotyczące dokumentacji procesu oceniania uczniów i świadectw szkolnych.

Książka zawiera także „Aneksy”, na które składają się teksty ustawy z 15 lipca 1961 r. o rozwoju oświaty i wychowania, rozporządzeń ministrów oświaty, górnictwa i energetyki, rolnictwa, komunikacji, przemysłu chemicznego i kultury i sztuki w sprawie kwalifikacji nauczycieli i wychowawców; zarządzenie ministra oświaty w sprawie egzaminu kwalifikacyjnego, wzór podania i informacje o książkach, stanowiących lekturę dla przygotowujących się do egzaminu.

Książka Kotarskiego stanowi cenną pomoc w przygotowaniu się do egzaminu kwalifikacyjnego. Winna znaleźć się w rękach zarówno tych, którzy w tej chwili przystępują do egzaminu, jak i tych, którzy w niedalekiej przyszłości do niego się zgłoszą. Znajduje się ona już w bibliotekach pedagogicznych i może w każdej chwili znaleźć się w rękach ich czytelników.

FRANCISZEK ŚWIDER



Kazimierz Andrzej Jaworski: WYWOŁYWANIE CIENI. Wyd. Lubelskie, s. 304, cena 20 zł.

Autor jest współzałożycielem i długoletnim redaktorem „Kamenu”. Publikacja wiąże się tematycznie z wydaną poprzednio pozycją „W kręgu Kamenu”, jest jak gdyby jej kontynuacją. Obraz rosyjskiej szkoły średniej, Zakopane lat pierwszej wojny światowej. Inne obrazy stanowiące obrachunek pisarza z przeszłością. Pozycja wspomnieniowa. Jan Parandowski: DYSK OLIMPIJSKI. PIW, s. 244, cena 10 zł.

Znany powieściopisarz i eseista. Dużo miejsca poświęca w swej twórczości antykwowi. Siódme wydanie niniejszego tytułu daje pozycję łączącą się z Grecją. Jest to obraz igrzysk olimpijskich, połączony z historią i obyczajowością ówczesnej Hellady.

Janusz Oseka: GŁOS ZE STUDNI. Iskry, s. 128, cena 20 zł. „Biblioteka Stańczyka”.

„Urodziłem się 13 września 1925 roku i od tej pory nie zdarzyło się w moim życiu nic ciekawego...” pisał autor w swojej zabawnej autobiografii. Znany ze „Szpilek” i innych pism satyrycznych.

Autor daje w tej pozycji próbkę talentu, przekrój swej twórczości. Klara Jarunkowa: JEDYNACZKA. Tłum. C. Dmochowska. Iskry, s. 278, cena 15 zł.

Jest to znana pisarka dla dzieci i młodzieży. Bohaterką omawianej pozycji jest współczesna, piętnastoletnia dziewczyna. Szkoła. Środowisko młodzieżowe. Dla młodych i starszych czytelników.

Grozdana Olujic: NIE BUDŹ SPIĄCYCH PSÓW. PIW, s. 205, cena 15 zł. Przel. M. Krukowska.

Pisarka znana nie tylko w Jugosławii. Powieść psychologiczno-sensacyjna. Współczesna. Historia miłości dwójki młodych ludzi nie umiających przystosować się do życia. Wielkie miasto.

Zdzisław Marzec: OPOWIEŚCI ZATOKI PERSKIEJ. KiW, s. 148, cena 15 zł.

Pierwsza książka tego znanego z „Nowej Wsi” dziennikarza. Ten zbiór reportaży łączy temat. Życie Iranczyków a sprawy gospodarcze i oświatowe tego kraju.

Alfred Lansing: WYPRAWA „ENDURANCE”. Przel. Z. Obniski. Seria „Naokoło świata”. Statek.

Statek „Endurance” zostaje zgnieciony przez lody Antarktydy. Wyprowadza Shackletona wędruje po krach. O przyjaźni i cichym bohaterstwie.

Ernst Assmann: NAUKA O PRODUKCYJNOŚCI LASU. Przel. zespół. PWRIL, s. 628, cena 110 zł.

Halina Wolter-Czerwińska: OCZY ZDROWE — OCZY CHORO. PZWL, s. 112, cena 5 zł.



Był w minionym tygodniu jeden prawdziwie świetny program publicystyczny, zatytułowany „Prawdy Polaków” i opracowany przez Jerzego Ballabana oraz Stanisława Raclawickiego. Nadano go z okazji 45 rocznicy powstania Związku Polaków w Niemczech. Pomyślany jako wielka retrospektywa walk o polskość, przyniósł wspomnienia żywe i szlachetne, wspomnienia ludzi skromnych a niezwykłych w upartym dążeniu do nadrzędnego celu, któremu na imię Polska. Zasluga autorów „Prawd” leży przede wszystkim w umiejętnym wyszukaniu bohaterów programu, którzy umieją mówić o tej walce bez koturnów, w jakie ustroił ją czas, są naturalni i wspominają przeżyte lata jako historię własną, osobistą. Takie dokumenty — autentyczne wspomnienia chciałoby się oglądać o wiele częściej aniżeli to bywa nam dane.

I chciałoby się częściej widzieć prawdziwy reportaż oparty o żelazne kryteria reportażu — autentyczny, który zaprezentowała nam telewizja włoska w wielkim eposie o wsi Bagnolo. Cóż to bowiem za wspaniałą relację dostaliśmy o ludziach! Jaki doskonały przekrój namiętności, pasji, umiłowań! Jaką próbę portretu zbiorowego!

A wszystko podporządkowane rygorom autentyzmu, sprawdzonych faktów, dokumentacji słowa obrazem i... pozornym obiektywizmem reporterów. Pozornym dlatego, że z maksimum tolerancji ujawniali słabości przeciwnika.

„Bagnolo” — wieś między czerwonym a czarnym? oglądałam jak sensoryjny film, któremu dodatkowego splendoru przysporzyły dwie nagrody: w Mannheim i Lipsku. Temat bowiem wielkiej konkurencji dwóch partii: komunistycznej i chrześcijańskiej demokracji oraz nieustannie pogłębiająca się przegrana tej ostatniej — był pretekstem do wielce głębokich analiz przemian świadomości włoskiego chłopca, dla którego magiczne słowo „ziemia” znaczy tyle, co umiejętność życia, radość życia, cel. Dziennikarze włoskiej telewizji zrobili dokument filmowy o rozkładzie kapitalizmu; zrobili go fotografując zwykłą codzienność — biedną i ponurą, cofniętą w granice średniowiecznej gospodarki i takiegoż prymitywu; tuż obok pomieścili drugie oblicze tej codzienności — wrzącą umysłowość włoskiego chłopca, uczciwie szukającego ucieczki przed średniowieczem. W tej najbardziej czerwonej, bo najuboższej prowincji

Włoch, zwanej wdzięcznie Regia Emilia, w jednej z jej wsi — Bagnolo niemal dotykalnie czuło się narastanie procesów myślowych kilku tysięcy mieszkańców, którzy dokonują s w i a d o m e g o wyboru między czerwonym a czarnym. I czuło się, właśnie dzięki wspomnianemu na wstępie pozornemu obiektywizmowi autorów reportażu, że żadna konkurencja między zapobiegliwym proboszczem, który na plebanii pomieścił agendy partii chrześcijańskiej, a 70 procentami wyborców, oddających głos na czerwone — nie jest możliwa. Ze likwiduje ją świadomość wspólnoty, świadomość starorzemiejskiej masy „Nec Hercules...”

„Bagnolo” — była pozycja niezwykle cenna, o bardzo rzadkiej piękności gatunku dziennikarskiego zwanego reportażem, który nie tylko karłowacieje, ale nader często rozmiąta się z nośną zawartością tego pojęcia, firmując tandetę i powierzchowność. Przeto znalazłszy taką perełkę jak „Bagnolo” warto ją oprawić w parę zdań podziwu.

I aby już pozostać przy publicystyce telewizyjnej, wspomnę, że Grzegorz Dubowski pokusił się o syntetyczny obraz folkloru podhalańskiego. Jego „Folklor żywy” — musiał tytułem swoim napsuć krwi przeciwnikom mieszania do folkloru sztuki ludowej, którą Dubowski szczególnie wyekspozował! Miał zaś skromnym zdaniem — miał rację, nie sposób bowiem oddzielić od obyczaju tego, co z obyczaju wypływa bądź ten obyczaj tworzy. Jeszcze raz więc podziwialiśmy piękne hafty orawskie, które stary kowal prznosi w ciężki metal i wycinając te dziurkowane zawilości w żelazie, dumnie powiada, że przydaje przedmiotom codziennego użytku duszę.

Na zakończenie zaś odejmę skrzydła „Pegazowi”, który, co tu dużo mówić, zupełnie nie darzy się Janowi Kłossowiczowi, traci lotność i robi się przy ciężkim perszeronem. Zniknęła bowiem jego jednolita koncepcja, wykończenie szczegółu, dbałość o sensowne materiały kulturalnej przemieszanie, swoboda poruszania się w gąszczu tej jednorodnej tematyki, ale zarazem tematyki superbogatej i jakościowo bardzo różnej. Kłossowicz jest bezradny, szuka trochę na ślepo, co by w „Pegazie” pomieścić, przekształca te kilkadziesiąt minut w zlepek magazynowych ustawek, który mnie osobliście bardzo drażni. I Kłossowicz nie ma cienia swobody przed kamerą. „Pegaz” tak obrósł w wartościową tradycję, tyle lat niósł na swoich pracujących skrzydłach najlżejszą pozycję kultury polskiej, że z prawdziwym żalem obserwuję jego ostatnie poczynania.

KRYSTYNA

GENIUSZ

Mickiewicz miał niesłychaną łatwość tworzenia. Pewnego dnia jeden z przyjaciół przyszedł go odwiedzić w Petersburgu, gdy poeta akurat zasiadł do pisania. Nie chcąc mu przeszkadzać, miał zamiar wyjść, lecz poeta zatrzymał go mówiąc:

— Usiądź i poczekaj chwilę, zaraz skończę i przeczytam ci. Po 10 minutach rzekł:

— Już gotowe, posłuchaj! I przeczytał dopiero co napisanego „Farysa”. W brulionie wiersza były poprawione tylko dwa wyrazy...

Kronika filmowa

CLAUDIA CARDINALE O FILMIE KAŁATOZOWA

„Litteraturna Gazieta” zamieściła wywiad z Claudią Cardinale, która bierze udział w realizacji filmu radziecko-włoskiego „Czerwony namiot”. Film ten o wyprawie Umberto Nobilego, reżyseruje Michał Kałatozow. CC gra rolę Valerii, narzeczonej naukowca szwedzkiego, Malgrena.

— „Czerwony namiot” — powiedziała aktorka — jest filmem typowo męskim. Valeria — to właściwie jedyna postać kobieca, symbolizująca niejako cierpienia kobiet, których mężowie brali udział w tragicznej wyprawie.

PROF. BARNARD BOHATEREM FILMU

Pod koniec br. włoski producent filmowy Alfredo Bini rozpocznie realizację filmu o życiu profesora Christiana Barnarda. W roli sławnego chirurga wystąpi Warren Beatty — brat znanej aktorki Shirley Mac Laine. Rozważana jest także kandydatura niemieckiego aktora Maximiliana Schella. Gregory Peck, który miał tę rolę objąć według pierwotnych ustaleń, zrezygnował z powodu innych, wcześniejszych propozycji.

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE WE WROCŁAWIU

Korzystając ze słonecznej pogody, ekipa realizacyjna filmu fabularnego „Lalka”, opartego na powieści Prusa, przystąpiła do zdjęć plenerowych na tle kamieniczek dawnego Krakowskiego Przedmieścia, wybudowanych na przedmieściu Wrocławia. Na obszarze blisko 10 ha dekoratory wrocławskiej Wytwórni Filmów Fabularnych wznieśli tu makiety kamieniczek, pałacików i kościołów, odtworzonych w oparciu o dawne sztychy przedstawiające Krakowskie Przedmieście.

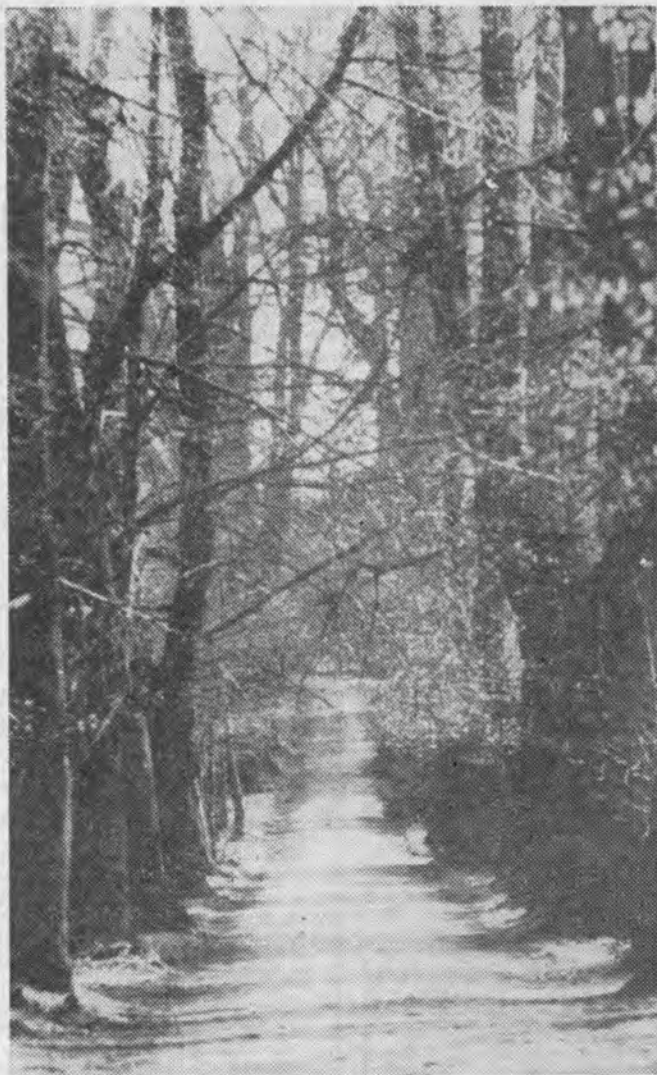
FILM O AŚCIE NIELSEN

Najwybitniejsza duńska aktorka filmowa Asta Nielsen zażądała w zeszłym roku zniszczenia krótkometrażowego filmu poświęconego jej osobie, który reżyserował Henryk Stangerup. Nie udało się przekonać artystki, że można film uratować przez wprowadzenie pewnych zmian. Ostatnio A. Nielsen sama nakręciła film o swojej karierze. Znalazły się w nim fragmenty tych jej utworów, które uważa za najbardziej wartościowe i istotne, które stworzyły wielkość „Die Asty” (tak nazywają znakomitą aktorkę jej wielbiele).
LIV ULLMANN W NOWYM FILMIE

Liv Ullmann grać będzie jedną z głównych ról w 2 filmach osnutych na tle powieści Wilhelma Moberga o emigracji Szwedów do Ameryki: „Uchodźcy”, „Emigranci”, „Nowi budowniczy” oraz „Ostatni list do Szwecji”. W oparciu o nie powstaną dwa długometrażowe filmy kolorowe. Zdjęcia wykonywane będą w USA, Kanadzie oraz na statku wiozącym emigrantów.

NPD PRODUKUJE FILMY NEOHITLEROWSKIE

Dzięki staraniom i pomocy finansowej neohitlerowskiej NPD, założono w Monachium firmę „National-Film”, która zamierza realizować filmy długo- i krótkometrażowe o „bohaterkach” czynach SS w czasie drugiej wojny światowej, o walce Wehrmachtu przeciw partyzantom w różnych krajach Europy. Filmy te mają być nakręcone przede wszystkim w Hiszpanii.



Opustoszała aleja.

Fot. M. NYCZEK



LEON ZYGADŁO — działacz społeczny w Łopuszce Wielkiej, pow. Przeworsk.

Rys. J. SIENKIEWICZ

Kartki dla Ewy

Imieniny

W maju mnóstwo ludzi obchodzi imieniny. Wśród plejady solenizantów także Dezyderiusz, Jaromir, Iwo i Petronela. Imieniny są okazją do towarzyskiego jublu, każda więc gospodyni opróżnia spiżarnię tak, aby znajomi rzekli — u Kowalskich tośmy popili, pożarli jak baki. Pijaństwo i obżarstwo nie jednak z dobrą zabawą nie mają wspólnego. Nadgryzają wątroby gościom, kieszenie gospodarzom, są przyczyną kociokwiku i drastycznych oszczędności budżetowych w następnym miesiącu. Imieninowe posiedzenia winny być przyjemnością dla solenizanta i zaproszonych przyjaciół, spotykamy się bowiem dla zabawy i wypoczynku. Dlatego też paniom domu zamiast oklepanych toastów, za tych co na morzu i w kopalni, spełnianych metrem czystości pod dzwonek śledzia, proponuję żarcik gastronomiczny.

15 dkg słodkiego, dobrze wyciśniętego twarogu, 5 dkg ementalera ucieramy z trzema łyżkami gęstej śmietany na gładką i gęstą masę. 5 dkg migdałów, uprzednio namoczonych i obranych ze skórki (mogą być ewentualnie orzechy laskowe lub fistaszki) siekamy drobnutko i rumienimy bez tłuszczu na patelni zważając, by się nie przypaliły. Z przygotowanej masy serowej formujemy waleczki w kształcie pietruszki, obtaczamy w wystudzonych migdałach lub orzechach. Grubszy koniec waleczka ozdabiamy świeżą natką pietruszki. Całość układamy na listkach zielonej sałaty. Efekt wspaniały. Przygotowana przez nas potrawa do zdziwienia przypomina wyciągniętą z grządkki pietruszkę. Biesiadnicy zerkają na nią niedowierzająco, chętnych do próbowania brak, gdyż rozmyślnie nie umieszczamy sztuczków na półmisku. Metode zjedzenia naszej zakąski pozostawiamy inwencji solenizanta, niech się biedzi i rozstrzyga: palce czy wykałaczka. Same trzymamy w pogotowiu większą ilość serwetek stołowych i reprezentacyjny rzemieślnik w łazience. Zabawa trwa. Pomysł stawia nas w ręce kobiet dowcipnych, nie pozbawionych inwencji. „Pietruszka” ma bowiem cechy happeningu, nowoczesnej zabawy towarzyskiej. Happening może być różny. Uczestnicy recytują wiersze i obrzucają się gotowanym makaronem, wtykają cioci za dekolt jajko w majonezie, upłynniają za okno butelki przy wórze piosenek ludowych. Wszystko zależy od temperatury.

Holdując tradycjom i nowe mody lansując przypominam o złotym środku.

BEGA

Kształt miłości

W tradycyjnej już oprawie, przy świecach, w sali balowej Łańcuckiego Zamku — Muzeum odbył się koncert poezji i muzyki pod nazwą „Kształt miłości”. Wykonawczynią tego ciekawego programu, na który składały się poezje C. K. Norwida, J. Słowackiego i A. Mickiewicza była znana aktorka, a zarazem prorektor Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie — Danuta Michałowska. Natomiast utwory Fryderyka Chopina wykonała pianistka — Teresa Garbulińska. Organizatorem imprezy było Rzeszowskie Przedsiębiorstwo Imprez Artystycznych „Estrada” w Rzeszowie.

ZDARZENIA WYGODNIA

KRONIKA DNI OSWIATY, KSIĄŻKI I PRASY

Zwyczajem ubiegłych lat odnotowujemy imprezy zorganizowane z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy. Nie będzie to z pewnością pełny obraz przebiegu święta kultury polskiej, tym bardziej że pomijamy tu odnotowane już w „Nowinach Rzeszowskich” ważniejsze inicjatywy i uroczystości.

GORLICE

Na placu Armii Czerwonej odbył się kiermasz książki, zorganizowany przez „Dom Książki” i „Ruch”. W parku miejskim odbyła się uroczystość zakończenia VI Rajdu Studentów Politechniki Krakowskiej, połączona z kiermaszem książki i występami regionalnego zespołu pieśni i tańca Spółdzielni „Koronka” z Bobowej. Odbyły się także eliminacje powiatowe piosenki harcerskiej, w których wzięło udział 15 drużyn. W Wiejskim Domu Kultury w Stróżowce Zarząd Powiatowy ZMW zorganizował Powiatową Olimpiadę Wiedzy Społeczno-Politycznej.

JAROSŁAW

Radiowęzeł nadał trzy pogadanki na temat Dni. Oprócz uroczystości powiatowej w 27 placówkach wiejskich odbyły się imprezy z okazji inauguracji Dni. W szkołach zorganizowano 130 wystaw książek, a w placówkach wiejskich 27.

KOLBUSZOWA

Powiatowa inauguracja odbyła się w miejscowości Przedbórz, gdzie otwarto Klub Młodego Rolnika. W Kolbuszowej otwarto wystawę książki i prasy oraz zabawków architektonicznych (akwarele).

KROSNO

Capstrzyk z udziałem młodzieży szkolnej. Przemarsz ulicami miasta z udziałem orkiestry Krosnieńskich Hut Szklanych. Podczas kiermaszu książki podpisali Jan Zych i Halina Dudowa.

ŁAŃCUT

W Powiatowej i Miejskiej Bibliotece Publicznej otwarto wystawę książek, z tytułowaną „Bohaterstwo żołnierza polskiego”. Na rynku odbył się koncert w wykonaniu orkiestry dętej Rakszawskich Zakładów Przemysłu Wełnianego. W Łańcucie, Rakszawie i Żołyni zorganizowano kiermasze książkowe.

MIELEC

W miejscowości Ujście otwarto Klub „Ruch”. Szkoły urządziły wycieczki do Powiatowej i Miejskiej Biblioteki, gdzie zorganizowano tzw. lekcje biblioteczne. W Rzędzianowicach w klubie „Ruch” zorganizowano zjazd zjazdów na temat związane z 25 rocznicą ludowego WP. W Domu Kultury urządzono wystawę prac dzieci, skupionych w ognisku plastycznym, z tytułowaną „Praca mojego taty”. „Dom Książki” zorganizował dwa stoiska z książkami, a „Ruch” — 6. W Domu Kultury wyświetlono film „Jak powstaje książka”.

PRZEMYSŁ

Z okazji inauguracji Dni Oświaty, Książki i Prasy w mieście zorganizowano 15 stoisk z książkami. Powiatowa Biblioteka Publiczna zorganizowała w terenie 11 kiermaszy. W Kraszynie odbyła się lekcja biblioteczna.

PRZEWORSK

Niemal we wszystkich klubach i gromadzkich bibliotekach publicznych odbyły się imprezy inaugurujące obchody. W Przeworsku odbył się koncert orkiestry dętej cukrowni „Przeworsk”. W kilku klubach odbyły się odczyty prelegentów TWP, na temat związane z 25 rocznicą ludowego Wojska Polskiego. W Kańczudzie, Siestesz, Pantalowicach i Manasterzu odbyły się festyny ludowe.

RZESZÓW

Podczas wielkiego kiermaszu książki i teki graficzne podpisywali miejscowi literaci i graficy, m. in. Roman Turek, Adolf Jakubowicz, Barbara Smoczeńska, Zdzisław Ostrowski i Jerzy Sienkiewicz.

TARNOBRZEG

W dniu 3 bm. odbyła się uroczysta inauguracja, na którą złożyły się m. in. referaty kierownika Wydz. Kultury Prez. PRN i dyrektora Ośrodka Kultury NRD. Otwarto również wystawę grafiki Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Uroczysta inauguracja Dni Oświaty, Książki i Prasy miała również miejsce w Klubie „Ronita” w Rozwadowie oraz w Nowej Dębie.

USTRYKI DOLNE

W miejscowościach Ropienka, Krościenko i Lutowska odbyły się uroczyste wieczornice. Miasto zostało udekorowane. W dniu 3 maja odbyła się impreza artystyczna w wykonaniu młodzieży szkolnej.